

# Feliks Dzierżyński

## „Pamiętnik więźnia”

8 kwietnia 1908 r.

Dwa tygodnie tylko poza światem jestem. A zdaje się, jakby to już wieki całe. Myśl pracowała, objęła czas ubiegły — czas czynu — i gorączki i szukała treści życia. Na dnie duszy spokój i jakaś dziwna pogoda, nie licująca ani z murami tymi, ani z tym, co tam poza nimi zostawiłem. Jakby zamiast życia wegetacja przyszła, zamiast czynu — zapatrzenie się wewnątrz siebie.

Dziś dostałem ten zeszyt, atrament i pióro. Chcę dziennik pisać, chcę z sobą rozmawiać, chcę wnikać w życie, by dało wszystko — i dla mnie, i może po trochu dla tych druhów moich, którzy tam o mnie myślą i boleją nade mną — i by w ten sposób zachować siły do powrotu.

Jutro 1-szy maja. W ochranie oficer jakiś ze słodką miną pytał się mnie: „Słyszał pan, że przed waszym świętem bardzo wielu waszych zabierzemy?” A dzisiaj był u mnie pułkownik Iwanienko, żandarm, dowiedzieć się, czy jestem przekonanym „esdekiem”, a ewentualnie zaproponować mi służbę rządową. „Może pan się rozczarował?” Pytam się go, czy głos sumienia nigdy do niego nie przemawiał, czy nie czuł nigdy, że złej sprawy broni.

Na tym samym korytarzu, na którym i ja siedzę, siedzi *zdrajca*, robotnik-ślusarz, Michał Wolgemut, bojowiec z Frakcji Rewolucyjnej PPS, schwytyany pod Sokołowem po krwawym napadzie na pocztę, gdzie 6-ciu czy 7-miu żołnierzy zabito. Gdy przyłapano jego kartkę, w której prosił towarzyszy, by go odbito, i gdy Zawarzin, naczelnik ochrony, zaczął obiecywać mu wolność za zdradę i namawiał go przez kilkanaście godzin — zdradził. Do sprawy pociągnięto 27-miu, wśród nich 17-letnich chłopców i dziewczęta. Teraz widuję go, jak chodzi na spacerze z twarzą smutną, przybity, z drugim, z którym nigdy nie zauważyłem, by rozmawiał. Z celi swojej nie puka do nikogo.

Gdzież wyjście z piekła obecnego życia, w którym panuje wilcze prawo wyzysku, ucisku, gwałtu? Wyjście W idei życia harmonijnego, życia pełnego, obejmującego całe społeczeństwo, całą ludzkość — w idei socjalizmu, w idei solidarności mas pracujących. Idea ta już przychodzi, już lud otwarte serce ma dla niej; czas już przyszedł. Trzeba skupić szeregi głosicieli tej miłości i nieść wysoko jej sztandar, by lud go dojrzał i poszedł za nim. I to jest dziś najpilniejsze zadanie Socjaldemokracji.

Socjalizm powinien przestać być wyrozumowanym ujęciem przyszłości i stać się winien pochodnią, która zapalać będzie w sercach ludzkich wiarę i energię nie-zwalczoną.

Garstka mała, lecz silną ideą swą skupi masę koło siebie, da im to, czego im brak, co ożywi je i natchnie nową nadzieją.

Rząd morderców nie stworzy ładu, nie wtłoczy życia w stare ramy, a krew niewinnych i głód, i cierpienie mas ludowych — płacz dzieci i rozpacz matek — to ofiary, które lud złożyć musi, by pokonać wroga i by zwyciężyć — nie pójdą na marne.

Późno już . . . Chcę tutaj przynajmniej regularne życie prowadzić — by nie oddać im sił moich. A czuję taki wielki zasób ich, że zdaje się, wytrwam i wrócę. A jeżeli nie wrócę już — to może ten dziennik dojdzie rak druhów moich i będą mnie mieli, choć cząstkę moją i tę pewność, że pogodny byłem, że przywoływałem ich do siebie w godzinach ciszy i smutku, i radosnych myśli moich. . .

*2 m a j a.*

Wczoraj i dziś przyszedł jakiś niepokój, jakieś dreszcze i lęk. Czego? Nie wiem. A jednak myśli nie mogą się skupić i biją się, i szamoczą jak strzępy na igraszkę wiatru oddane.

Dziś znów był pułkownik u mnie. Gdy zobaczyłem go, zadrzałem, jakbym żmiję odczuł na ciele, jej dotknięcie śliskie, przerażające. Przyszedł zawiadomić mnie przez grzeczność, że sprawa moja oddana została do sadu wojennego, że akt oskarżenia już mi wysłano. Ubolewał, że odebrano sprawę z Izby Sadowej, lecz upewniał, że nieraz sąd wojenny więcej uniewinnia i łagodniejsze wyroki wydaje. Rozpytywał, czy sam siedzę, czy mam książki, jak tu karmią, mówił, że on w więzieniu zaprowadziłby teatr. A gdy zapytałem go znowu: czy sumienie nigdy nie przemówiło w nim — powiedział mi, że nie jestem normalny, współczując mi i ubolewając.

Przez cały czas tej krótkiej rozmowy czułem, jak żmija pełza po mnie, obejmuje mnie skrętami swymi i maca, aby znaleźć jakiś punkt zaczepny i zawładnąć. Nie bałem się, że dusza moja nie wytrwa tej próby. Czułem tylko wstręt fizyczny i uczucie, poprzedzające zwykle wymioty. Wróciłem do celi mej i czułem, że nie staje mi siły na spokój pogodny. Brud poczułem na sobie — brud człowieka... Zło, jak kleszcze żelazne rozpalone, wyrывa i pali żywe ciało z żywego człowieka, oślepia go. Zasłania cały świat, by wypełnić każdą cząstkę, każde tchnienie i atom każdym bólem — bólem przerażającym.

Codziennie zakuwają po kilku i więcej w kajdany. Gdy przyprowadzili mnie do celi, w której niegdyś już przed 7-miu laty siedziałem, pierwszy głos, który przemówił do mnie — to brzęk kajdan. Towarzyszy on każdemu poruszeniu okutego. Zimne bezduszne żelastwo, połączone z żywym ciałem ludzkim, żelastwo, wiecznie ciepła łaknące i nigdy nie nasycone, i wciąż przypominające niewolę. Zakutych na moim korytarzu większa część teraz. Na 13-tu 7-miu zakutych. Gdy chodzą na spacerze, cała cisza więzienna wypełnia się tym jedynym szczękiem, który przenika do wszystkich tajników duszy i staje się wszechwładnym. I chodzą, patrzą na niebo, na drzewa, które już liśćmi zielonymi zaczynają się pokrywać — i nie widzą piękna, nie słyszą hymnu życia, nie czują ciepła słońca. Zakuwają ich, bo chcą odebrać im wszystko i pozostawić tylko ten dzwon pogrzebowy. Przecież obawy, by mogli stąd uciec, mieć nie mogą; nikt jeszcze nie uciekł stąd z rąk ich: — za każdym chodzi żołnierz z karabinem — prowadzi żandarm — naokoło żandarmi, żołnierze, kraty, okopy forteczne. Zakuwają, bo zemsty chciwi, krwi żądni — muszą nasycić swe pragnienie.

Widziałem dziś, jak prowadzili z kuźni już okutego młodego chłopaka. Na twarzy jego widać było, jak wszystko w nim zastygło, silił się na uśmiech jednak, który mu wykrzywił twarz tylko... Schylony trzymał w ręce kajdany, by mu nie wlokły się po ziemi, i pędził z ogromnym wysiłkiem za żandarmem, który spieszył; widocznie miał jeszcze wielu innych zakuć. Żandarm zauważył tę mękę zakutego, na chwilę się zatrzymał, uśmiechnął się łagodnie, przyjaźnie: „ech, zapomniałem panu rzemień dać” (dla podtrzymania kajdan) i poprowadził dalej.

*7 m a j a.*

Dziś miałem widzenie z obrońcą. Trzy tygodnie upłynęły zupełnej samotności, zamknięcia w czterech ścianach. Już dziś na tym widzeniu znać było skutki. Nie mogłem mówić swobodnie, chociaż nikogo nie było przy nas...

A więc sprawa jednak będzie w Izbie. Któż jednak ich zrozumie? Iwanienko chciał może nastraszyć mnie lub zobaczyć, jakie to na mnie wrażenie robi, a najpewniej prawdę powiedział, to, co już postanowiono, lecz o czym papier nie doszedł jeszcze do Izby. A może będę miał dwie sprawy o jedno i to samo — jedną w Izbie, a drugą w sądzie wojennym. Zresztą mniejsza o to — na kilka lat tym razem muszę liczyć i uzbroić się w cierpliwość.

Teraz czytam od rana do nocy — beletrystykę; pochłania mnie ona, zabiera mi całe dni i po tym czytaniu jestem jakby oszołomiony — jakbym nie czuwał, lecz spał i we śnie widział epoki różne, ludzi, przyrodę, królów i nędzarzy, szczyt siły i upadku. I nieraz odrywam się z niecierpliwością od czytania do obiadu lub kolacji i spieszę połknąć swój pokarm i dalej gonić za wypadkami, za przeznaczeniem ludzi — niemal z taką gwałtownością, z jaką niedawno pędziłem w wirze małego świata mego, małych czynów, natchnionych myślą i porywem wielkim. Czasami tylko ten sen przerywa się i wraca okropna rzeczywistość. Oto przed chwilą na korytarzu obok jakaś kobieta miała awanturę z żandarmem, a potem zaczęła krzyczeć histerycznie, o ratunek wołać, jakby ją zabić mieli lub zarżnęli. Długo, długo tak krzyczała strasznie, bez przerwy. W kilku celach rozpoczęło się stukanie w drzwi i umilkło. Nasz żandarm głosem przestraszonym i błagalnym wołać począł: „proszę nie stukać, przecie ja wam nie wymyślałem, nie krzywdziłem”. Gdy ktoś się odezwał, by zawołać zarządzającego i poskarżyć się mu, że tam biją kogoś — odpowiedział pokornie, że dobrze, że się poskarży. Żołnierz z zewnątrz krzyczał groźnie, by nie stukać i zawołał głośno „razwodiaszczewo”<sup>1</sup>. Sąsiad mój, młody chłopak, uczeń 17-letni, oskarżony o napad na pocztę pod Sokołowem i o inne 4 napady, wypukiwał: „co to, czy to demonstracja”, a z góry inny: „co ta dzicz wyrabia”.

Wkrótce potem uspokoiło się zupełnie i wróciła martwa cisza, przerywana tylko gwizdaniem lokomotyw.

Czasami w ciszy nocnej, gdy się już leży, a jeszcze nie śpi, wyobraźnia podsuwa ruchy i dźwięki jakieś — umiejscawia je tam na zewnątrz, za parkanem, dokąd prowadzą okuwać. Wtedy podnoszę się i nasłuchuję — i im więcej wsłuchuję się, tym wyraźniej słyszę, jak strugają i heblują ostrożnie, po kryjomu. To szubienicę i pomost szykują — myśl błyska i już nabiera pewności. Kładę się, wciągam kołdrę na głowę... już nie pomaga; coraz wyraźniej, z coraz większą pewnością wie się, że dziś powieszą kogoś. On wie o tym. Przychodzą do niego, rzucają się, wiążą, usta kneblują; lub też sam daje sobie dobrowolnie ręce związać i nałożyć koszulę śmiertelną ... I potem prowadzą, patrzą, jak kat go bierze, patrzą na ostatnie drganie i może cyniczne słowa rzucają potem, gdy zakopują jego trupa, tak jak zakopują padlinę.

Odkryłem napis jednego z wielu skazanych: „Józef Kunicki, aresztowany w Wilnie na ulicy razem z żoną 6 lipca 1907 r., skazany w Suwałkach wileńskim sądem wojennym na śmierć o zabicie szpicla tajnego i o należenie do frakcji bojowej SDPL», przywieziony do Warszawy 19 lutego 1908 r. dla spełnienia wyroku; piszę 3 marca 1908”. Prawie trzy miesiące upłynęło od wyroku do chwili, gdy te słowa pisał — i na pewno sam siedział, oddany na łup żądy życia.

Obok mnie chłopak, o którym już pisałem, wypukał mi, że nie jest tchórzem, ale nie chce zginąć — zginąć za pieniądze. Czuję z pukania, co w duszy jego dzieć się musi. Chociaż prawdopodobnie uniewinnią go... Ci wszyscy, którzy koło mnie siedzą, wpadli przez zdradę.

Teraz, słyszę, jakiś wybitny u fraków<sup>1</sup> działacz — zdrajca; wydał mnóstwo ludzi w Warszawie, Sosnowcu, Lublinie i innych miastach.

*9 maja.*

Dziwnie szybko dni mi schodzą na czytaniu. Wieczór, już późno, spać nie chcę iść i odwlekani tę godzinę codziennie na coraz później. Nie czuję prawie drzwi zamkniętych i bliskiej zgrozy. Nie myślę o przyszłości, nie myślę o tym, co się tam na zewnątrz dzieje. Wiosna, która przyszła, nie porywa mnie pragnieniem nienasyconym w szerokie przestworza. Widzę tę wiosnę, budzącą się tutaj, na drzewach, w trawie, wciągani ją w siebie z powietrzem. Słyszałem dzisiaj pierwsze grzmoty: teraz, słyszę, jak tam za oknem radosny deszcz wiosenny pada i krople jego pukają mi do okna. Zmęczony jestem. Nie chcę rzucać się w wir życia — wystarcza mi i spokój mi przynosi to odbicie tylko świata, które już jest we mnie, które wydobywam z pamięci lub książek, z dziejów dawno minionych, i na które

patrzę... Już nie palę się. A tam w duszy, w głębinach jej — potajemnie burzy się coś, układa, nagromadza, przesuwają, by, gdy nadejdzie chwila, wybuchnąć. I któż odgadnąć może, kiedy przyjdzie ona? Może jutro, może dziś jeszcze, a może za rok. Czy wybuchnie, by pożreć mnie tu jeszcze w szamotaniu się, czy wtedy — gdy w czynach i w życiu będę mógł twórcą być, twórcą życia? Niech wola moja milczy teraz — niech żadne gorętsze uczucie się nie odezwie, aż będę mógł się wyrwać z nieruchomego martwego bytu.

Wczoraj wręczono mi akt oskarżenia. Członek Izby Sądowej uprzejmie wytłumaczył mi, że mam 3 dni czasu na podanie świadków, że sprawa będzie nie wcześniej jak w sierpniu, że toczyć się będzie jednak w Izbie — rozporządzenie senatu czy ministra sprawiedliwości, by oddawać podobne sprawy sądowi wojennemu, do tej sprawy już nie będzie zastosowane, że wcześniej jak w sierpniu nie mogą — teraz są zawaleni pracą — muszą jechać do Siedlec, Radomia etc., a potem wakacje, więc dopiero na jesieni, że Izba postanowiła mnie i innych uwolnionych za kaucją zaarrestować. A więc jeden z nas będzie siedział przed sprawą 23 miesiące, 2-ch innych po 20.

Co do mnie, w akcie oskarżenia nie ma ani jednego dowodu mojej winy i mógłbym być wolny, gdyby można w ogóle było przewidywać wyroki, bardziej zależne od widzi mi się i humoru sędziów niż od dowodów prawnych. Zresztą na uwolnienie nie liczę. Być może, że wytoczą mi przedtem sprawę w sadzie wojennym, a gdyby teraz nie wytoczyli, to w razie uwolnienia przez Izbę — wytoczą potem na podstawie tych papierów, które ostatnio znaleźli u mnie, chociaż i one nie dowodzą, że należę do partii.

*10 maja*

Obok mnie siedzi teraz od 2 dni 18-letnia robotnica. Od 4-ch miesięcy aresztowana. Śpiewa — pozwalają jej. Ona to miała awanturę z żandarmem; potem przeprowadzono ją tutaj. Młoda, wygląda jak dzieciak, strasznie się męczy. Przykrzy jej się; wypukuje mi, żebym przysłał jej sznurek, że powiesi się, dodaje przy tym: od cukru, żeby słodko było umierać. Puka tak strasznie nerwowo i z taką niecierpliwością, że nic prawie zrozumieć nie można, a wciąż przywołuje mnie pukaniem: nie może widocznie znaleźć sobie miejsca. Niedawno znów puka mi: „moi drodzy, poradzcie mi coś, aby mi się tak strasznie nie przykrzyło”.

I wciąż ma zatargi z żandarmami; żywa jak dziecko, nie może znieść ani się pogodzić z rygiorem, który tu panuje. W tej chwili oto, gdy to napisałem, znów wynikła mała awantura. Przestała śpiewać, zapukała do żandarma i poszła do „tualety”. Idąc, zapukała do moich drzwi, potem wracając chrząknęła i stanęła koło drzwi swej celi, żądając, by żandarm jej drzwi otworzył, bo ją ręka boli (w poprzedniej awanturze ona podobno kropnęła żandarma dzbankiem, a ten szablą zranił ją w rękę). Zwyczajem czy regułą tu jest, że drzwi powinien otwierać więzień, a nie żandarm, by więzień nie mógł przy otwieraniu napaść na żandarma. Żandarm na to zażądał, by sama otworzyła drzwi. „Wszystko jedno, odpowiedziała, ja otworzyć nie mogę, mnie ręka boli, będę tu stała przez cały czas”. Żandarm zagroził wtedy, że zadzwoni i jej gorzej będzie. Odpowiedziała: „mnie wszystko jedno”. Gdy wtedy żandarm, widocznie niezdecydowany, poszedł do dzwonka, by ją nastraszyć, ona podeszła do celi naprzeciwko, gdzie siedzi jakiś młody oficer z drugim więźniem, i zaczęła rozmawiać. Rozwścieczony żandarm drzwi ze złością otworzył z krzykiem: „No, ty chodź, ja ci otworzę”, a potem na korytarzu burczał i półgłosem wyrzucił: „ścierwo!” Wtedy rzuciłem się do drzwi, zacząłem stukać i krzyżeć „żandarm!” Nie odzywał się i przyszedł dopiero, gdy po raz trzeci go zwołałem. Wpadłem na niego ostro. Zaczął od tego, że to nie moja rzecz; gdy rzekłem, że słyszałem „ścierwo”, zaczął usprawiedliwiać się, że on otworzyłby, lecz ona już nieraz takie kawały urządzała i gdy żandarmi nachylali się, by zasuwę odsunąć, ona niejednemu już z nich obiała „mordę”.

Ta dziewczyna, na wpół dziecko, na wpół wariatka, wywołała kiedyś większą awanturę. Już wtedy wszyscy byli zelektryzowani jej strasznym krzykiem, płaczem i szamotaniem się

z żandarmem. Nieraz, gdy jest w „tualecie”, wdrapuje się na okno i krzyczy „dzień dobry” towarzyszący spacerującym, a gdy wtedy przychodzi do niej żandarm — robi piekło.

1-go maja, gdy była na spacerze, zaczęła wznosić okrzyki: „Niech żyje rewolucja” i inne i śpiewać Czerwony Sztandar. Wszystkich to zelektryzowało, wszyscy widocznie byli z sobą w rozterce, czy śpiewać, czy podtrzymywać okrzyk. Nikt nie chciał wydać się przed innymi i przed samym sobą tchórzem i chciał śpiewać, lecz musiałby sobie gwałt zadać; bo wszystko odpychało od tej bezcelowej i zupełnie bezużytecznej demonstracji — nie wiadomo po co. Więzienie milczało.

Wieczorem ktoś z góry pukał: „dziś wieczorem zademonstrujemy śpiewem”, lecz samo to pukanie ostrożne było, z przerwami, w obawie, by fijoł' nie złapał. Śpiewu nie było jednak.

Czasami gniew na tę dziewczynę wzbiera — jej śmiech, jej śpiew, jej zatargi z żandarmami wnoszą do życia naszego coś tak obcego... a zarazem tak drogiego, tak pożądanego, lecz nie tu, nie tu. Czego chce ta dziewczyna, dlaczego spokój zakłóca? — i budzi się gniew. Lecz rozsądek mówi: „czy to jej wina, że dzieckiem jeszcze zamknięto ją tutaj — gdy miejsce jej jeszcze w domu u matki, gdy jeszcze czas jej bawić się. Być może, nie ma matki, już sama walczyła o kawał chleba musiała — robotnica przecie. Ten ustrój okropny nakazał jej wziąć czynny udział w rewolucji. A teraz za to mszczą się na niej. I iluż jest takich — już od dzieciństwa skazanych na marne, nieludzkie życie — ludzi z wypaczonymi uczuciami skazanych na to, by prawdziwego szczęścia i rozkoszy życia już nie ujrzyć nawet we śnie! A jednak w naturze j e s t ta zdolność odczucia. Niewielka garstka pozbawiła tej zdolności miliony ludzi, by spacyć nawet swoje własne dusze — i oto pozostaje tylko „szał i zgroza”, „zgroza i szal” lub rozkosz i uciechy w podnieceniu alkoholem, władzą, mistycyzmem religijnym. Gdyby rzeczywiście nie przyświecała ludzkości gwiazda socjalizmu, gwiazda przyszłości — nie warto żyć by było. Bo „ja” nie może żyć, nie zawierając w sobie całej reszty świata i ludzi. Takie jest to „ja”.

### *13 maja.*

Przed godziną burza szalała. Po raz pierwszy potężne grzmoty były, huczały, wstrząsały całym powietrzem i nasz marny pawilon X drżał. Błyskawice oślepiająco jaskrawię rozdzierały mrok, odbłyski ich migwały i różowe, odbite od ściany oficyny, wpadały do celi mojej; deszcz lał jak z cebra, a wiatr kołysał drzewem za oknem, bił o ściany, stukał i skowyczał. Teraz cisza. Księżyc zamglony patrzy z góry obojętnie, nie słyhać ani kroków sztyldwacha i żandarma-klucznika, ani śpiewu mojej sąsiadki, ani brzęku kajdan; tylko od czasu do czasu kropla deszczu skądś spada na blachę od mego okna i słyhać gwizdanie lokomotywy. Jakiś smutek wżera mi się w duszę. Nie więźnia to smutek. I tam nieraz podchodził mnie cichaczem i opanowywał — smutek bytu, tęsknota za czymś nieuchwytnym a koniecznym do życia, jak powietrze, jak miłość. Dziś dwóch skuto; prowadzono ich koło najszych okien z kuźni. Sąsiadka moja, Hanka, krzyknęła każdemu z nich „niech żyje rewolucja”, oni ucieszeni odpowiedzieli tym samym okrzykiem. Widocznie dziś ich zasądono: może są skazani na śmierć. Widziałem, idąc na spacer, jakiś ruch na jednym z korytarzów — śmiertelnym. Przechodziłem kilka razy przez ten korytarz, gdy prowadzono mię do kancelarii, i nie wiedząc jeszcze o jego przeznaczeniu, czułem powiew śmierci. Nie jest ciemny; jaśniejszy od innych, 3 okna duże, na korytarzu 6 cel tylko, od 45—50 włącznie, lecz drzwi od celi, chociaż takie same jak u nas — żółte z rdzawymi plamami, jednak inne. Na drzwiach jednej z cel zauważyłem zamek zupełnie zardzewiały, w innej w drzwiach dziura była duża, deską zabita, jakby tam walka jakaś śmiertelna się toczyła z opornym zrozpaczonym skazańcem.

Dwa dni temu, jak mi opowiadano, u mej sąsiadki byli: gubernator, naczelnik ochrony i naczelnik żandarmerii i grozili, że ona i brat jej będą powieszani, że ona może uratować siebie, wydając ludzi i składy broni, że jest zdradzona i teraz nic prócz własnej zdrady uratować jej nie może.

W tych dniach też znalazłem taki napis: „Teodor Jabłoński, skazany na karę śmierci. Cella 48 (śmiertelna). Już był doktor. Dziś będą wieszać. Żegnaj, życie! Żegnajcie towarzysze! Niech żyje Rewolucja!” — a obok inną ręką: „Zamienili stryk na 10 lat katorgi. Obecnie ma drugą sprawę o zamordowanie prowoka w więzieniu płockim. Dziś IV. 08 r.”

*14 m a j a.*

Korytarz cel śmiertelnych nie jest próżny. Przed chwilą, będąc na spacerze, widziałem w oknie celi 50 cień bladego młodego mężczyzny, zdaje się, robotnika. Lufciki u góry w oknie tej celi zamknięte. Parę razy podchodził do okna i wpatrywał się w karbowane szyby, przez które, prócz rozlanego światła i cieniów niewyraźnych, rozpląniętych, nic nie widać. Tylko dwie górne szyby ze zwyczajnego szkła otwierają się i przez nie można widzieć niebo, przyćmione gęstą siatką drucianą, której oczka są tak małe, że zapalki nawet przesunąć nie można. By zobaczyć przez te szyby, co się na podwórzu dzieje, trzeba stanąć na stole lub na poręczy żelaznego łóżka. Zresztą żandarm pilnuje, zagląda często przez „judasza” w drzwiach — na chwilę więc tylko można na stół wskoczyć i rzucić spojrzenie przez szyby. Więzień spod n-ru 50-go siedzi samotny, bo nawet sąsiadów nie ma, cela ta zupełnie jest oddzielona i mieszkaniec jej nie może rozerwać myśli swych nawet pukaniem ani zatrzymać oka na czymś, co by ułagodzić, uciszyć burzę mogło. Brudna kamienna podłoga, brudne drzwi, stół i rama okna na żółto pomalowane, ściany szare, zakurzone, z sinymi i białymi plamami, sufit jak pokrywka trumny, „judasz” w drzwiach i martwe, rozlane srebrne światło dnia-życia. A tam, za drzwiami na korytarzu podkrada się żandarm po cichu, podnosi zasłonę „judasza”, patrzy, pilnuje, by ofiara nie wymknęła się, zadając sobie śmierć własną ręką.

*14 mają wieczór*

Dziś Hanka, sąsiadka moja, opowiedziała mi następującą historię. „Posadzili mnie z niewiastą Owczarek, siedziałam z nią 2 tygodnie, opowiadała mi, że do niej na widzenie przychodzi adwokat P. Wtedy zwierzyłam się jej, gdzie mama moja mieszka, i prosiłam, by on poszedł do nas i powiedział, by mama wyjechała. Ona przystała na to. Naraz wołają ją do kancelarii, przyjechał do niej z ochrany szpik i ona wysypała. Przychodzi z kancelarii, przynosi podanie, różne jedzenia, no i kawior dla mnie, co niby przysłała partia. Ja byłam chora wtenczas, strasznie pobita byłam. Wyobraźcie sobie, mama była w 3 tygodnie po operacji, leżała w łóżku, naraz przychodzi policja, która przyniosła moje zawiadomienie, by mama wyjechała. Wzięli ją prosto do ochrany, a stamtąd na Pawiak; i tak się strasznie strzęsła mama, że żyła tylko 3 tygodnie i na Pawiaku umarła. Ojciec mój też siedzi, 2 miesiące już po sprawie, dostał 20 lat katorgi, ja i brat siedzimy. Cała nasza rodzina siedzi. Teraz dali mi drugą, S., ją podłą do mnie sprowadzili, a ona przy naczelniku całuje mnie i mówi: jak to dobrze, panie naczelniku, że pan mnie do znajomej dał. A ja jej nie znam wcale, pierwszy raz ją widzę — wierzcie mi. Ja zaraz zrobiłam skandal i nie chciałam z nią siedzieć. Wczoraj był u mnie szpik z ochrany i mówił, że ta S. dała na mnie fakty, że niby jestem główną dostawczynią broni z zagranicy, że prowadzę bojówkę w Warszawie — oj, podłość — że mój brat jest szeregowiec pod pseudonimem Iskierka, inne kłamstwa. Naplotła rzeczy, co ja nawet nie mam pojęcia, jak coś podobnego zrobić można, oj, oj, oj!” Kobiet tu dość dużo. Widzę, jak spacerują i słyszę głosy ich; dolatują tu z innych korytarzy. Często sprzeczą się z żandarmami, śmieją się i głośno rozmawiają. Im tu gorzej niż nam, choć żandarmi zdaje się są dość powściągliwi i nie zabraniają zasłaniać „judaszy”. Powściągliwość ta nie jest, ma się rozumieć, skutkiem ich ludzkości — lecz skandalów.

Z 9-ciu kobiet, które spacerują w tej części ogródka, dokąd wychodzi moje okno, 3 tylko spokojnie się zachowują: dwie młode, ciche Polki chodzą razem, zawsze za ręce się trzymając, trzecia też młoda, lecz poważna i opanowana Żydówka. Inne wciąż chichoczą nienaturalnym śmiechem, hałasują, rozmawiają z Hanką, która w żaden sposób do rygoru

nakłonić się nie daje. Dzisiaj też z tego powodu przykra scena się odbyła. Hanka stała na stole, rozmawiała, właściwie rzucała słowa i zdania dwom spacerującym niewiastom. Te odpowiadały i same coś mówiły. Żandarm uprzedził raz, drugi; nie zważały na niego. W największej pasji podbiegł do okna Hanki, wyjął szablę i zaczął kłać. To nie pomogło; nie zwracały uwagi. Po tej scenie pukałem do Hanki, że gniewam się na nią, iż naraża się dla głupstwa na wymyślania. Odpowiedziała mi, że nie będzie, lecz za godzinę zapomniała o obietnicy, bo nie może żyć tak w celi, bez żadnych wrażeń — dziecko jeszcze — w kazamatach, gdzie nie mogą znaleźć równowagi dorośli już i doświadczeni samotnością więzienną mężczyźni.

Dzisiaj z rana czy wczoraj wieczór przywieziono ogromną partię więźniów. Widziałem ich, jak spacerowali — wielu razem — 10-ciu, 10-ciu, 7-miu i 6-ciu. Widocznie na sprawę w sądzie wojennym. Wymizerowani, niektórzy okuci, wynędzniali i na ciele, i na ubraniu, niektórzy w czapkach zimowych. Chodzili jedni grupami, prowadząc cichą rozmowę, inni zasepieni, samotni. Robotnicy, dróżnik kolejowy, żołnierz, kilku, zdaje się, chłopów, kilku o niewyraźnych twarzach robotnika-inteligenta. Z daleka przez siatkę trudno rozpoznać.

*16 m a j a.*

Wiosna w całej pełni. Wszystkie drzewa owocowe pokryte kwiatami białymi i bujnie już odziane zielonymi liśćmi. Dzień coraz dłuższy i w powietrzu już lato czuć, na słońcu w ogrodzie gorąco, a tu w celi coraz duszniej.

Dziś Hanka cierpi strasznie, nie śpiewa i cicha jest. Dowiedziała się, że wczoraj skazano brata na śmierć. Wieczorem pukała mi: „dzisiaj może go wieszać będą, czy pozwolą pożegnać się ze mną? już sama jedna zostanę jak kołek. Może i mnie, jak grożą, powieszają. A taki młody, 21 lat ma”. Cóż mogłem powiedzieć jej?

Od tygodnia, 10 dni nade mną siedzi ktoś inny. Nie wiem kto. Nie puka i nie odzywa się. Wkrótce potem, gdy zamieszkał tam, wydało mi się, nie wiem dlaczego, że to W. I z każdym dniem coraz pewniejszy byłem, że to on. Wołałem go pukaniem imienia jego, lecz nie odzywał się wcale, nie słuchał, nie uważał, rzucałem butem w sufit, by zwrócić jego uwagę, nie odezwał się. Nie chodzi w celi prawie wcale. Przez kilka dni nie mogłem czytać — czatowałem, gdy na spacer wyjdzie. Ale on nie chodzi wcale, nie mogłem zobaczyć, przekonać się, czy to on. Dziś coś tam zaszło — zapukał w drzwi — słyszałem, jak potem zamek, zasuw a i zawiasy zgrzytnęły przy otwieraniu — kilka chwil ciszy — potem znów zgrzytnięcie przy zamykaniu. Potem om zaczął równo, spokojnie, z krótkimi przerwami stukać — 2 razy drzwi się otwierały i zamykały — i znowu stukanie, z początku rękami, potem nogami, a potem kubkiem. Trwało to może godzinę całą, nie wiedziałem o co i nie wiem dotychczas. Potem przyszedł do niego ktoś raz i drugi i skończyło się. Znowu było nade mną zupełnie cicho, jakby tam nikogo nie było.

Tak każda cela żyje, czasami tylko odezwie się która i wtedy wszyscy mieszkańcy tych cel milczących zrywają się z miejsca i słuchają w cichości, nasłuchują, czy nie nastąpi szamotanie się, czy nie przyjdzie czas, by i oni ciszę zakłócili. Potem przez jakiś czas nie mogą uspokoić się, wrócić do książek, liter martwych — każdy wtedy czuje, gdzie jest i czym tu jest. Myśl, że tam nade mną siedzi W. prawdopodobnie urojeniem jest, lecz urojeniem, którego pozbyć się nie mogę. Urojenia w ogóle to choroba takich więźni.

*21 m a j a.*

Wieczorem, gdy przy lampie siedziałem nad książką, usłyszałem, jak żołnierz w ciężkich butach swoich do okna mego podszedł i ujrzałem, jak twarz jego przylgnęła do szyby. Nie bał się podejść, ciekawy był, może zainteresowany.

„Nic, bracie, nie widać” rzuciłem mu życliwie. Nie odszedł.

„Tak” odpowiedział, westchnął i po pauzie zapytał: „Nudno panu? Zamknęli... (tu rosyjskie wymyślanie) i trzymają”.

Ktoś wszedł na podwórze — odszedł. Te kilka słów, szorstkich, lecz współczujących, wywołało całą falę uczuć i myśli. W tym domu przeklętym, od jednego z tych, których sam widok drażni, denerwuje, nienawiść budzi — usłyszeć słowa, które przypominają ideę wielką, żywotność jej i łączność naszą, więźniów, z tymi, którzy dziś mordują nas. Jakaż kolosalną pracę wykonała już rewolucja: rozlała się wszędzie, obudziła umysły i dusze, tchnęła w nie nadzieję i tęsknotę i cel im pokazała. Tego żadna siła nie wyrwie. I jeżeli dziś my, widząc, jak zło okrutnie się rozpanoszyło, z jakim cynizmem ludzie zabijają ludzi dla marnej zdobyczy, wpadamy w *rozpacz* nieraz — to popełniamy błąd straszny, nie widzimy dalej swego nosa, nie czujemy tego procesu zmartwychpowstania ludów. Wojna japońska wykazała całą grozę dezorganizacji i destrukcji armii rosyjskiej — rewolucja uzewnętrzniła też tylko to zło, które zjadało społeczeństwo. I to zło, zanim zginie, właśnie po to, by zginać, musiało się uzewnętrznić, musiało górę wziąć i doprowadzić siebie do bankructwa. To nastąpi. By tę chwilę przyspieszyć, trzeba naszą pewność tego bankructwa przelać w masy, by nie zwątpiły, by przetrwały w gotowych zastępach. To zadanie „teoretyków”, a zadaniem innych — wykazać to zło, męczarnie mas i jednostek spośród nich wyrwanych i nadać im to znaczenie, które mają, a które siły daje znieść mężnie wszystko, nie zachwiać się — i w ten sposób natchnąć masy męstwem i moralnym przeświadczeniem o konieczności walki. Potrzebni są ci, co umysłowi pewność dadzą, i ci, co ją dadzą duszy, sercu: uczeni i poeci, nauczyciele i agitatorzy. Przypominam sobie, jaki ogromny wpływ miała książka „Proletariatu”<sup>1</sup> „Z pola walki”, która opisuje męki ludzi, ich wytrwałość i niezłomność w walce. Chciałbym, by i teraz książka taka wyszła. Teraz trudniej zebrać i zestawić fakty, bo są tak olbrzymie i jest ich tak wiele, lecz i sił jest teraz więcej. Gdyby ktoś podjął się tej pracy, kierownictwa tylko, za rok, za dwa mogłaby się ukazać taka książka. „W niej byłyby nie tylko cierpienia, nie tylko nauka nasza, lecz ta żądza pełni życia, której kto zazna, nie przeklnie żadnych cierpień, żadnych ofiar.

Tak kilka słów żołnierza rozpało mój mózg. Tu jest ich wielu — żołnierzy na swych placówkach i żandarmów-kluczników. Lecz dostępu do ich serc ani głów mieć nie możemy. Rozmowy wszelkie z nami są wzbronione i rygor tutejszy je uniemożliwia. Nie ma o co zaczepić rozmowy. Stykamy się jako wrogowie z żandarmami, a żołnierzy tylko widzimy. Na korytarzu trzech żandarmów codziennie zmienia się co 4 godziny, ten sam żandarm bywa raz na 10—15 dni, trudno więc poznać, który z nich dostępny, a który nie, prócz tego mają nieraz dużo roboty z wypuszczaniem nas po jednym do „ubornoj”, na spacer, na widzenie, otwieraniem drzwi na obiad, na zamiatanie, na herbatę, na zabieranie z rana lampy, na chleb, na kolację. Dalej żandarmi, którzy prowadzą na spacer, a po tym używani są i do innych robót. Stąd bardzo często są opryskliwi, źli — widzą w nas wrogów, starają się skrócić spacer i nieraz usiłują nam dokuczyć. Takich zresztą, którzy dokuczają nam z własnej inicjatywy, jest mało. Ci często zaglądną przez „judasza”, każą długo czekać, zanim drzwi na pukanie otworzą. Ogół są to zmęczeni ludzie i czuć po nich, że boją się „naczalstwa”, że surowa dyscyplina im ciąży. Miałem przykłady współczucia z ich strony. Raz któremuś z nich powiedziałem, by mi książki zmieniono — zaraz się zwrócił do drugiego wolnego żołnierza, w tej chwili przechodzącego koło drzwi mojej celi, i rzekł: „Obiazatielno skazi w kancelarii!”<sup>1</sup> Drugim razem, na spacerze, gdy zdawało mi się, że żandarm chce, bym już szedł do celi, zwróciłem mu uwagę, że jeszcze mi pozostała jedna minuta (zegar w szafce szklanej zamkniętej wisi na parkanie) — oburzył się na mnie o posądzenie, że on mi zabierze minutę. Ton był tak przyjazny, że zawstydzilem się i odpowiedziałem: „Różni wśród was bywają”.

Tak trudno w tym martwym domu wszcząć rozmowę z żandarmem. Charakterystyczny fakt, że gdy więzień z więźniem się spotyka przypadkowo, nie mogą przemówić do siebie. Raz żandarm zapomniał, że w „ubornoj” już jest jeden więzień i puścił drugiego; ten, gdy tamtego

zobaczył, od razu zawrócił do swej celi i słyszałem (więzień z celi naprzeciwko) jak mówił żandarmowi: „tam ktoś jest”. Innym razem ja spotkałem oficera-więźnia i gdy, spostrzegłszy go, rzuciłem mu: „witajcie, towarzyszu” — patrzył tylko na mnie zdumiony.

Tu się traci umiejętność prowadzenia rozmowy. Żandarmi z sobą i żandarmi z posługaczami rozmawiają na korytarzu szeptem: gdy ktoś z „naczalstwa” przychodzi do celi, żandarm drzwi zamyka, by inni nie słyszeli rozmowy, głosu; z uwięzionym żandarm nie ma prawa rozmawiać i wejść do celi, posługacza-żołnierza pilnuje żandarm-klucznik, by słowa nie przemówił; jeżeli od posługacza czego żądam, muszę się zwracać do żandarma. Na korytarzu są chodniki, tak że kroków nie słyszać. Z korytarza dolatuje tylko szept czasami, zgrzyt zasuw i zawiasów i trzask zamka.

Każdy dźwięk z zewnątrz, który wdziera się z fortecy przez okno, potęguje tylko tę grobową, tajemniczą ciszę wnętrza. Cisza narzuca się każdemu i opanowuje tak nas, jak i żandarmów. Raz zwracałem uwagę żandarmowi, że nie powinien budzić mnie na spacer, jak to zrobili tego dnia rano, że im urządzę kiedyś awanturę z tego powodu; byłem spokojny, lecz przy tym dłuższym przemówieniu czułem drganie jakiegoś w sobie, zauważyłem, że i żandarm nie mógł mi swobodnie odpowiadać. A gdy który z nas zdobędzie się na swobodnie powiedziane słów kilka do żandarma, gdy czasami zaśpiewa lub zaśmieje się szczerze, naturalnie — wtedy jakby jasny promień nam błysnął. Czują to i żandarmi.

Mówiąc o tej grobowej ciszy, muszę nadmienić, że na moim korytarzu zakutych już nie ona, a na spacerze w moim ogrodzie bywa tylko jeden zakuty (część rozkuto, tych, których przywieziono z prowincji na sąd zakutych, część wywieziono), tak że obecnie cisza ta nie wpija się już tak okropnie boleśnie w mózg i w świadomość brzękiem kajdan, lecz mimo to niemniej oddziaływa na dusze nasze.

Zza okna wdzierają się do nas odgłosy życia: w dzień szum ciągły, w którym trudno odróżnić poszczególne odgłosy — to oddech życia, słońca, deszczu, dalekiego miasta, dorożek, przemarszu żołnierzy; w ten gwar życia ogólny wplata się czasami swobodny głos dzieci, grube, głośnie śmiechy, żarty, wymyślenia i głosy żandarmów i żołnierzy, czasami grzmiąca muzyka wojskowa, czasami śpiew żołnierzy, huczących na całe gardło, czasami harmonia, która bez końca ciągnie jedną i tę samą nutę. Czasami w święta słyhać jakiś ochryply śpiew przy akompaniamencie harmonii. W nocy dolatuje gwizdanie i ruch pociągów, a gdy wiatr cichy porusza liśćmi, rzekłbyś, że to poszum lasu łagodny lub bieg rzeki. Lecz głosy te wszystkie potęgują ciszę wewnętrzną, wywołują nieraz rozdrażnienie i nawet wściekłość; przypominają wciąż, żeś nie umarł, że dźwięki te wdzierają się zza kraty, zza okna, dającego nam świat zewnętrzny tylko jako rozlaną plamę świetlną... A jednak, gdyby zupełnie zabrakło i tych wrażeń słuchowych, byłoby może dla duszy jeszcze bardziej zabójcze.

*22 m a j a.*

Dziś wieczorem znowu była jakaś awantura na górze, ale nie nade mną, lecz gdzieś dalej z boku; tym razem już nie stukanie, lecz walenie taboretu w drzwi i głośny krzyk wzbudzony jakiegoś więźnia: „nie macie prawa!”... Co to było, nie wiem. Trwało 10 minut, potem znowu wróciła martwa cisza.

*23 m a j a.*

Dziś miałem po raz pierwszy widzenie. Była bratowa z małą Wandzią; dziewczynka bawiła się siatką drucianą, pokazywała mi piłkę i wołała: „stryjek, wychodź”. Cieszę się bardzo, że widziałem je; tak bardzo je lubię. Kwiaty mi przyniosła, które teraz są na stole przede mną. I ona się cieszyła, że dobrze wyglądam, a ja zapewniałem ją, że mi tu dobrze zupełnie i wesoło; mówiłem, że mi zapewnię dadzą katorgę.

Dziś dwa razy byłem w kancelarii (adwokat był i widzenie) i za każdym razem przechodziłem przez korytarz śmiertelny. Siedzą tam skazani — zdaje się, było ich 2-ch,

bo widziałem, jak posługacz niósł dla dwóch obiad. Że to skazani, jestem pewny, bo prócz żandarma na korytarzu dyżuruje i żołnierz z karabinem.

A tam z wolności przysyłają drogie mi pozdrowienia i dowody pamięci — i idą śmiało naprzód, w jarzmie życia, i swoje robią. Widzę ich wielu, wielu: jedni jak ja, inni żywi jeszcze, inni daleko, lecz myślą, sercem i pracą tu. Widzę i tych drogich, którzy dają szczęście i urok życiu naszemu, dają energię i wytrwałość.

*28 m a j a,*

Od tygodnia krew z gardła rzuca się Hance. Dziś doktor był, mówił, że źle, chciał wziąć do szpitala: nie poszła. A gdy mówiłem jej, żeby poszła, że tam jest dobrze — odpowiedziała, że tam sama jedna będzie, że potem, gdy wróci, miejsce jej będzie zajęte, że nie chce. I nie poszła.

Tu obok są tylko dwie nasze cele i dwie nad nami. Ktoś siedzi tam, lecz nie pukają. Nad Hanką we dwóch siedzą i dziś jakby naumyślnie cały dzień biegali w swoich ciężkich butach po celi nad jej głową. Wołała do nich przez okno, by tak nie biegali, każdy krok rozsadał jej czaszkę — lecz oni nie słyszeli widocznie, biegali dalej. Żołnierz gniewał się na nią za ten krzyk i pytał żandarma: „czego ona tak krzyczy?” a ona, bezsilna, płakała. Dopiero wieczorem przestali biegać — dyżurny żandarm powiedział im widocznie.

*31 m a j a*

Wczoraj i dziś widocznie była sprawa o pocztę pod Sokołowem. Wszyscy mężczyźni — piętnastu — i jedna kobieta — zostali na śmierć skazani, dwie kobiety dostały po 15 lat katorgi i dwie kobiety uniewinniono.

Hanka dostała wczoraj akt oskarżenia; oskarżona o 8 zamachów, o kierownictwo bojówką, o Rogów, o zamach na Skalona i inne. Mówiono jej, że pójdzie na stryk, że Skalon nie zmieni, że mówił podobno: „Ona już i tak za długo żyje”.

Uczniak z Siedlec, który siedział obok mnie, też razem z nimi został skazany, zdrajca Michał Wolgemut też.

*3 c z e r w c a .*

Wczoraj znowu skazano podobno 8-miu na śmierć ...

*4 c z e r w c a .*

Wczoraj powieszono skazanych za napad pod Sokołowem. Jeden z więźniów, który siedział z jednym ze skazanych, spacerując dał Hance znać o tym, krzyknął jej, nie zważając na żandarmów: „już powieszony”. Widzieliśmy na spacerze dziś jednego tylko ze skazanych — ucznia z Siedlec, który obok mnie przedtem siedział; ten dał znać, że wrócono go wczoraj z miejsca stracenia. Jutro będzie sąd nad 51 w sprawie zabicia rotmistrza w Radomiu.

A żandarmi w ogródku przed oknami naszymi urządzają wieczorem zabawy hałaśliwe, pełne nawoływań, okrzyków, śmiechów, oklasków. Dziś z oklaskami i wybuchem śmiechu wołali: „bis! bis!” Potem zaś idą na korytarze na zmianę i podglądają przez „judasze”, by więźniowie nie pukali do siebie, i po każdej bytności więźnia w „ubornoj” szperają tam, szukając „grypsów” (listów) więźniów, a w nocy jak zbóje prowadzą skazanych na stracenie.

*5 c z e r w c a .*

Przed pół godziną (teraz już może 11-ta wieczór) przyprowadzono z sądu dwóch radomiaków na nasz korytarz, obydwaj skazani. Gdy Hanka im krzyknęła z celi: „wkrótce zobaczymy się, do widzenia!”, oni spokojnym głosem radośnie odpowiedzieli: „trzymamy się mocno”, a żandarm głosem przejętym szeptał: „dosyć, dosyć”. Przed godziną na górze w bocznym korytarzu jedna z uwięzionych, krzycząc okropnie na żandarma, waliła czymś

twardym w drzwi ze straszną furią w przeciągu jakiejś pół godziny, ktoś drugi obok niej odzywał się słabiej, stukał pięścią. Potem uciszyło się. Nie wiemy, co to było.

I gdyby znalazł się ktoś, kto by prawdziwie opisał całą grozę życia tego martwego domu, walki, upadek i wzlot dusz zamurowanych tu na rzeź, odtworzył, co się tu dzieje w duszach uwieczonych bohaterów i podłych, i zwyczajnych ludzi, w duszach skazanych i prowadzonych, i prowadzących na szubienicę — wtedy by życie tego domu i mieszkańców jego stało się największą bronią i najjaśniejszą pochodnią w dalszej walce. I dlatego niezbędnym jest zbierać i podawać ludziom — nie kronikę skazanych i ofiar, lecz życie, wszystkie drgnienia dusz ich, szlachetne i podłe, ich upadki i zwycięstwa, ich cierpienia wielkie i radość w mękach — prawdę, całą prawdę — zaraźliwa tam, gdzie jest piękna i potężna, wzbudzającą pogardę dla ofiary, gdy jest złamana, upodlona. To zarobić może tylko ten, kto sam dużo cierpiał i dużo kochał...

*6 czerwca.*

Dziś widzenie miałem i pozdrowienia. Otrzymałem prześliczne kwiaty, owoce, czekoladę. Widziałem Stasię i Wandzię. Stałem na widzeniu tym jak nieprzytomny, nie mogłem myśleć ani siebie zebrać. Słyszałem tylko: „jak ty dobrze wyglądasz” i jak ja mówiłem: „straganie tu”, a potem prosiłem o książki jakieś, o bieliznę — niepotrzebną mi. A potem wróciłem do celi z kwiatami — i tak dziwnie się czułem: żadnego bólu, żadnej skargi, nudziło mnie tylko, jak przed wymiotami. A kwiaty śliczne — coś mi mówiły — czułem, lecz nie rozumiałem, ich słów.

Potem z sądu ktoś wrócił i słychać było z korytarza głos jego twardy i równy: „stryk” i ochrypli, zły głos żandarma: „Nie wolno mówić”. Z rana, gdy byłem na spacerze, żołnierze wynosili z cel śmiertelnych całe fury słomy: widocznie tylu stracono, że nie miano dla nich sienników i łóżek, a teraz miejsce przygotowują dla 8-miu radomiaków skazanych wczoraj...

Na górze gdzieś kwili dziecko, tu urodzone niedawno ...

*12 czerwca.*

Wszystkim radomiakom zamienili na katorgę. Mówiono mi też, że Hance na pewno stryk zamienia. Od paru dni dano jej towarzyszkę. Śmiech nieustanny i śpiewy teraz z jej celi prawie przez cały dzień rozlegają się po korytarzu. Gniewa się, że prawie wcale nie pukam. A dla mnie zaczyna ona być jakby obcą. I wiem, że gdybym ją poznał bardziej — gdyby nie była „abstrakcją” dla mnie -- powiałby chłód na nią ode mnie.

Zresztą przez ten tydzień cały, pomimo widzenia, książek — czuję się jakoś dziwnie. Jakbym czuł powiew bliskiej śmierci, jakbym już był u kresu i wszystko już pozostawił poza sobą ...

*28 czerwca.*

Nie pisałem dawno. Hankę ode mnie zabrano, jest teraz naprzeciwko mnie. 18-go, w czwartek, miała sprawę o Skałona, była pewna przez dwa dni, że powieszą. Adwokat obiecał, w razie gdyby zmieniono, przyjść i nie przyszedł. Zamieniono na wieczna katorgę. Teraz był u niej przed dwoma dniami i mówił, że Skałon zmienił tylko dlatego, że mu wstyd było za siebie potwierdzić, lecz przy innej sprawie — zatwierdzi. Jutro, zdaje się, ma sprawę, — o rzucenie bomby w Markach. Prócz tego jeszcze 6 spraw...

Obok mnie od dwóch dni siedzi kielczanin. W czwartek miał sprawę — dostał stryk, zamieniono na 15 lat — za 2 tygodnie będzie miał drugą sprawę o zabójstwo 2-ch strażników. Przed nim kilka dni siedział lublinianin. Zakomunikowano mu, że poznał go prowok Edmund Tarantowicz i że jest oskarżony o zabójstwo pocztyliona i 5 żołnierzy. Ma stryk pewny. Prowok ten wydał podobno całą organizację Frakcji i jest tak zajęty teraz poznawaniem i

składaniem zeznań, że sędzia śledczy musi kolei czekać na niego. Radomiacy przez ten czas mieli jeszcze 2 sprawy, jeszcze dwa razy wyrok śmierci i dwa razy zamieniono go na katorgę.

### *2 lipca.*

29 czerwca zabrano od nas Hankę. Sprawę miała 80-go. Zdaje się, stryczek dostała, tak mi pokazywała ruchem ręki po szyi. Zabrano ją stąd, a kilku wpakowano na 3 dni do karceru ciemnego za podanie prokuratorowi „zajawienia” w ostrym tonie, że tu żandarmi źle obchodzą się z kobietami, oraz żądania przewiezienia kobiet do kobiecego więzienia. Jednych wsadzono do karceru, innych do innych cel, by nie mogli nadal się komunikować.

Obok mnie już nie ma nikogo. Kielczanin siedzi teras z kimś innym w innej celi. Ma on 17 spraw (21 lat) — gdy mu przychodzą odczytywać akty oskarżenia, już ich nie słucha, powiada, że już naprzykrzyło się słuchać, że

1 bez tego może pójść na łono Abrahama. Żałuje tych 20 lat, których mu nie dadzą już przeżyć, zapytując: ileż bym wtedy miał spraw, mając lat 40. Znowu jest bardzo wielu w kajdanach — na innych korytarzach; słyszę i widzę ich tylko, gdy spacerują. Kilku to dzieci — mali, bez zarostu, bladzi, wyglądają na lat 15—16. Jeden z nich nie może chodzić w kajdanach, widocznie nogi ma pokaleczone — ledwo się rusza. Przez cały krótki czas spaceru siedzi na ławce. Inny znowu nie podtrzymuje łańcucha pasem i tak łańcuch za nim się wlecze. Inni za to przeciwnie: noszą te kajdany z dumą, śmiało patrzą i wyprostowani chodzą, pobrząkując.

W tych dniach miałem małą rozrywkę: byłem w „ubornoj”, żandarm zapomniał i puścił radomiaka. Jakież było nasze zdziwienie, gdy tam spotkaliśmy się! Miał już trzy wyroki śmierci, za każdym razem zamieniono mu na 20 lat katorgi, oczekuje jeszcze

2 wyroków po 15 lat katorgi za udział w podkopie pod więzienie i za należenie do PPS-Lewicy<sup>1</sup>. Dostał te wyroki wszystkie, pomimo iż nie brał żadnego udziału w zarzucanym mu zabójstwie rotmistrza żandarmów i innych — w tym czasie wycofał się już z roboty. Drugi, z którym siedzi, a który też wyrok stryczka otrzymał, jest to prawowity lewicowiec i był zasadniczym przeciwnikiem terroru indywidualnego.

### *3 lipca.*

Dziś po obiedzie otworzono mi cale okno, będę mógł teraz otwierać co dzień od godziny 4 —5, gdy spaceruje już się kończą, i przed 8 rano. Teraz widzę już zieleń, wielki kawał nieba, wciągam świeże powietrze. Stałem długo przy oknie o kraty oparty, świeże powietrze odurzyło mię i smutno mi. Wspomnienia, tęsknota, i czuję niewolę

— tu w Warszawie samej mnie więżą, tu ich cytadela i panują z niej. Jakiś Kałmuk żołnierz chodzi z karabinem, pilnuje i przygląda mi się bacznie. Niedaleko gdzieś lokomotywa gwiżdże, pociąg pędzi — ludzie wolni jadą

— wiele ich, wiele, nas tutaj garść tylko. I otucha wraca, chociaż smutno mi samemu teraz tutaj w celi, w tym domu.

### *6 lipca.*

Na mój korytarz przybyło 3-ch: anarchista Waterlos, ma 15 lat katorgi — w kajdanach: ma jeszcze sprawę; cudzoziemiec widocznie, z wymowy i nazwiska sądząc, był 3 dni w karcerze za skargę do prokuratora. Z nim siedzi jakiś Żyd z Ostrowca za rzucenie bomby do fabryki podczas aresztów robotników. Obok mnie — niewiasta, nie wiem, co za jedna, bo od dziś siedzi i puka bardzo źle. Prócz tych: 2 radomiaków, oficer (Bielokopytow) z Zambrowa gub. łomż., młodziutki jeszcze i różowy jak panienka — artylerzysta, za to, że nie doniósł na tow. swego, który jakoby należał do Wszechr. Zw. Oficerów. Z nim siedzi robotnik od 1 listopada 1907 r., oskarżony o bojówkę Frakcji. (Sypie go niejaki „Sztubak”). Dalej 2 robotników, o których nic nie wiem, wreszcie zdrajca Wolgemut, który posłał na stryk podobno już do 30

osób, a z nim jakiś Żyd z Białegostoku — który zapewne też jest zdrajca, bo go kilkakrotnie uprzedzono, kim jest Wolgemut, a jednak siedzi z nim wciąż razem.

*7 lipca.*

Dziś okropny dzień. Z rana ktoś stukał gwałtownie w bocznym korytarzu i krzyczał na żandarma, lecz to krótko trwało. Zaraz potem Waterlos począł pukać, żądając naczelnika. Obiecywano mu, że zaraz przyjdzie, i nie przychodził przez dzień cały. Stukał z przerwami cały dzień, a wreszcie o g. 9-ej wyszedł na korytarz i powiedział, że tu będzie czekał. Zbiegło się moc żandarmów i żołnierzy — zaczęli prosić go, grozić, by wszedł do celi. Odpowiedział, że nie pójdzie. Wreszcie schwycono go i wepchnięto do celi — a on krzyczał „towariszczi!” Z cel zaczęto walić w drzwi. Potem Waterlos z celi zaczął stukać. Dopiero teraz w parę minut przyszedł naczelnik. Rozmawiali cicho po niemiecku. Słyszałem tylko, że żądał, by zabrano od niego jego towarzysza.

Jeden z radomiaków siedzi w karcerze za zażalenie: zabrano go, mówiąc, że idzie do kancelarii. Waterlos do karceru nie chciał dobrowolnie iść i położył się na łóżku; podobno tak z łóżkiem wyniesiono go do karceru.

*9 lipca.*

Zabrano dwóch radomiaków i Żyda z Ostrowca. Jedna cela pusta; przeniesiono tu 2-ch nowych: w tym jednego radomiaka. Waterlos powtórnie napisał po odsiedzeniu karceru zażalenie do prokuratora i prokurator znowu za obrazę kazał go na 7 dni wpakować do karceru. Jeszcze nie zabrano go — widocznie karcery są zajęte.

Nade mną siedzi niewiasta. Była już skazana na osiedlenie i puszczona za 2 tys. na wolność, potem znowu ja aresztowano. W Piotrkowie głodziła się 23 dni: są tam podobno straszne warunki dla kobiet.

*23 lipca.*

Wczoraj 14-tu zakuto; jeden z nich, idąc do kuźni, z gorzkim śmiechem mówił do prowadzących: „ostatnie kroki wolne”. Dziś 5-ciu innych rozkuto, zdaje się z prowincji na sąd przywiezionych. Sąsiadka moja strasznie biedna, chociaż mówi, że dobrze się czuje, i po całych dniach śpiewa. Powieszono jej ojca, matka w więzieniu umarła, jeden brat w siedleckim więzieniu, drugi w czwartym forcie w cytadeli, jeden tylko 14-letni niedawno został wypuszczony. Z nią razem siedzi stróżka, oskarżona o współudział w podkopie pod więzienie radomskie. Po całych dniach się modli. Jutro będzie sprawa.

Waterlos odsiedział w karcerze 7 dni, lecz jest już w innej celi — nie wiem gdzie. Na górze w nr 20 — głodowali przez dni kilka z powodu złego jedzenia; wczoraj przestali. Przedtem tu wszyscy otrzymywali dobre jedzenie (37 kop. na więźnia), lecz od września ub. r. zmieniono — tylko dla politycznych zostawiono 37 kop., a dla kryminalnych zredukowano do 11 kop., lecz do kryminalnych zaliczają, kogo chcą: tak np. radomiaków, głodowali 4 dni; trochę im polepszono strawę, lecz bardzo nieznacznie. Do grupy tej zaliczają również b. żołnierza z Zambrowa, który teraz na naszym korytarzu siedzi, a którego nie oskarżają nawet o zabójstwo polityczne, lecz o należenie do organizacji.

*26 lipca.*

Dziś w niedzielę 2-ch zakuto, widocznie jutro wysyłają ich. W sprawie podkopu 5-ciu uniewinniono (jeden z nich na naszym korytarzu dotychczas jest tu). Żołnierzowi z Zambrowa zmieniono jedzenie na 37-kopiejkowe.

Hanka siedzi teraz z Owczarkówną, którą oskarżała o zdradę. Widocznie kłamała i teraz nie wierzę, by i inne jej opowiadania nie były przesadzone.

Dziś liczyłem spacerujących — było ich 60 tylko na naszym podwórku, a więc jest tu koło 120 więźniów<sup>7</sup>. Spośród tych 60 — dziesięć kobiet, czterech oficerów artylerzystów i jeden konnicy. W dwu celach siedzą po 6, w jednej 5, w jednej 4, w 2-ch po 3. Na górze dawne gabinety badań przerabiają na cele. Podobno siedzą tu nie tylko pod śledztwem, lecz wielu też odbywa tu karę. Tych, którzy mają nie więcej niż 8 lat katorgi, nie wysyłają podobno na Syberię, bo tam wszystkie więzienia przepełnione, lecz rozsyłają po więzieniach Rosji europejskiej i Królestwa.

### *29 lipca*

Dziś we wszystkich celach zamknięto okna i gwoździami mocno poprzybijano. Teraz znowu cela jak grób się zamknęła i nie widać ani nieba, ani drzew, ani jaskółek. Nawet świeże powietrze nam zabrano. Zamknięto podobno dlatego, że więźniowie korespondowali pomiędzy sobą przez okna, spuszczać listy na sznurku. Podobno przybył znowu nowy „zawiaadowca” (niedawno była już zmiana) i nie chciał przyjąć pawilonu z oknami otwartymi. Wczoraj pozwolono otwierać, dziś gwoździami pozabijano.

U nas na korytarzu przez te kilka dni przybyło 4-ch nowych; współlokatorkę sąsiadki mojej zabrano do Radomia, a na jej miejsce przyprowadzono nową więźniarkę z Piotrkowa. Dziś ciężko. Niejeden myśli o proteście, o walce i może wyniknie jeszcze awantura, chociaż już nic nie pomoże, okna będą pozabijane.

### *7 sierpnia.*

Na naszym korytarzu od kilku dni siedzi niejaki Kac. Aresztowano go w Berlinie 25 czerwca, nazajutrz po zebraniu, na którym był; trzymano go tam 2 tygodnie i tak pilnowano, że nikomu nie mógł dać znać o swym areszcie. Potem wywieziono go do Wierzbolowa w kurierskim pociągu i tam wydano rosyjskim władzom. Z Berlina aż do Kowna miał kajdany na rękach i nogach. Podobno minister spraw zagranicznych depešował policji berlińskiej, by go odesłano do warszawskiej cytadeli, do X Pawilonu. W Kownie był dzień tylko i stamtąd przywieziono go tu. Oskarżają o należenie do anarchistów.

### *16 sierpnia.*

Robotnika z Pabianic podobno uniewinniono. Przed paru tygodniami był też sąd warszawskiej bojówki fraków — wszyscy zdziwieni są łagodnym wyrokiem: wielu (5-ciu) uniewinniono, jeden, Montwiłł — 15 lat katorgi, kilku po 8 lat katorgi. Jednemu 2 lata 8 mieś. katorgi zamieniono na 6 mieś. więzienia, drugiemu osiedlenie podobno zamieniono na jeden miesiąc więzienia, jak również i jednej niewieście. Wszyscy zdumieni, niektórzy już wyobrażają sobie, że okres represji minął.

Z powodu zamknięcia okien niektórzy (właściwie niektóre) projektowali wytluc wszystkie szyby, lecz ta myśl upadła zaraz. Inni proponowali głodówkę, żądając jednocześnie zrównania dla wszystkich jedzenia po 37 kop. porcja, lecz i ta myśl upadła — żaden prawie strajk głodowy nie doprowadził do zwycięstwa, Waterlos we wrześniu zeszłego roku głodził się 23 dni (15 i 8); dawano mu słowo honoru, że wszystko spełnią i nic nie spełniono. Jeden anarchista 2 razy się głodził, żądał zdjęcia kajdan; na 6 dzień głodówki zdjęto mu, lecz po tygodniu znowu zakuto.

Strajki głodowe już nie robią na nich wrażenia. Wiedzą zresztą doskonale, że taki strajk nie może długo potrwać i być powszechnym. Wytrwalsze tylko jednostki dłużej znoszą głód, lecz same za to pokutować muszą.

Nowy zawiadowca podobno „dobry”. On to wymyślił sposób, by wilk był syty i owce całe; okna pozostały zamknięte, lecz podczas spaceru drzwi celi są otwarte

na korytarz; jedzenie polepszył, pozwalając zamożniejszym więźniom nie brać całej porcji, a oddawać część tym, którzy otrzymują 11-kopiejkową strawę. Lecz rezultatem tego z czasem może być, że wszystkim zmniejszą porcję i będą kraść więcej. Teraz nie szykanują nas i dobrze z nami postępują, należy im to przyznać. Ostatnio nie słyhać było nawet, jak przedtem, wymyślań tych nielicznych spośród żandarmów, którzy nienawidzą nas i są zadowoleni, gdy mogą czymś dokuczyć. Inaczej niemożliwe by było tu siedzieć i byłyby niechybnie straszne awantury. Przecie ludzie stąd idą na rusztowanie lub na długie lata katorgi, a nie zapomnieli jeszcze swoich dni wolności i nie mogą pogodzić się jeszcze z myślą, że już na zawsze, czy na długie lata klamka dla nich zapadła.

To, co najbardziej tu przygniata, z czym nie mogą się więźniowie pogodzić — to tajemniczość tego domu, życia w nim — rygor, który ma na celu, aby każdy tylko wiedział o sobie i to nie wszystko, lecz jak najmniej. I więźniowie namiętnie walczą o zdarcie z tego domu zasłony tajemniczości: stąd bezustannie pisanie „grypsów”, wyszukiwanie najrozmaitszych sposobów, by „gryps” doszedł, kaszlanie w korytarzu, nucenie lub śpiewanie w celach, gwizdanie. Wytworzył się cały system sygnałów. Dla „grypsów” wynajdują wciąż nowe miejsca, gdy stare się zasypują. Niektórzy doszli do artystycznej wprawy i pomysłowości w sposobach porozumiewania się, oddali się temu całą duszą i tym tylko żyją. Tych przenoszą z celi do celi, starają się umitygować, lecz nic nie może ostudzić ich zapału. Gdy inaczej nie można, ze spaceru w okna innych dają znaki, lub z „uborboj” spacerującemu. Żandarmi nie mogą sobie dać rady z nimi i wreszcie machają ręką, czekając, aż ich stąd zabiorą. Oni wiedzą o wszystkim, często tam gdzie brak wiadomości — fantazją uzupełniają całość. „J Stąd często wieści nieprawdziwe, z powietrza wzięte lub..! s palca przez kogoś wysane.

Doszła do nas wieść, że ochrana przysłała tu 6-ciu, szpiclów, że wśród uwięzionych są prowokatorzy. Zaczęto więc ich tropić, nieraz złapano rzeczywiście, nieraz rzucono podejrzenie na ludzi może niewinnych. Niedawno,}! gdy spacerował oficer z nowoprzybyłym, ktoś krzyknął przez okno „uborboj” — „to szpicel”. Hanka mówiła mi o Owczarkównie jako o zdeklarowanej zdrajczynie — potem sama w jednej celi była z Owczarkówną i jakby nie, będąc na spacerze, bawiła się z nią i dokazywała. Zresztą widocznie znowu pokłóciły się, bo siedzą już osobno, dziś zaś Hanka była za coś przez całą noc w karczerze. Wytwarza się atmosfera nieufności, która psuje wspólne pożycie, i każdy znowu zasklepia się w sobie, jeżeli może.

A szpiegów rzeczywiście jest tu sporo. Tu tak często zmieniają współtowarzyszy (mało kto pojedynczo siedzi, przeważnie we dwóch — są cele, gdzie po 3-ch i więcej siedzi razem), że widocznym się staje, w jakim celu to robią: by dać możliwość nieznanym szpiclom wybadać jak najwięcej. Przed kilku dniami widziałem przez okno spacerującego prowokatora, znanego już na pewno, z więźniem nowoprzybyłym z prowincji. Prowokator inteligent. Krzyknąłem przez okno: „towarzyszu, ten drugi to łotr taki a taki”. Na drugi dzień już widziałem ich osobno.

Teraz zaś podejrzewam pewnego człowieka. Wiedziałem, będąc jeszcze na wolności, nazwisko jednej zdrajczynie. Otóż, dowiaduję się tu, że pewna niewiasta, która to zachowuje się nienagannie, ma także nazwisko; dowiaduję się przypadkowo, że zna blisko pewne osoby, które i tamta blisko znała, że pewne rysy jej charakteru podobne są do tamtej — i rodzi się pomimo woli mej podejrzenie, które tłumię z początku, lecz które wciąż wzrasta. Rzecz jasna, że nie wyjawilem nikomu tego domysłu, lecz staram się dowiedzieć na pewno.

## *21 sierpnia.*

Dziś cały dzień pawilon był pełen ruchu. Noszą sienniki, łóżka, przeprowadzają więźniów z celi do celi. Sąsiadkę moją, „biedną sierotę”, jak ją nazwaliśmy — przeniesiono na inny

korytarz, do Owczarkówny, chociaż nie chciało się jej od nas odchodzić. Z góry kobietę (8 lat katorgi) zabrano dzisiaj do arsenału. Na nasz korytarz przeniesiono towarzysza z Radomia (ma już wieczną katorgę) i jednego członka PPS-Lewicy.

Od szpicla Wolgemuta zabrano dwóch jego współlokatorów; zdaje się, że jego już nie ma. Na 3-cim korytarzu odbywają karę twierdzy byli oficerowie Awietisjane i jego współtowarzysz za WRO<sup>1</sup> (3 lata do 24 sierpnia 1908 r.), b. wojsk, inżynier, za obrazę cara (1 rok do 7 lipca 1909) i gimnazjalista, któremu na prośbę matki zamieniono 4 lata na 1 rok twierdzy. Mają codziennie gazety, odbierają im jednak zaraz po przeczytaniu, by nie mogli nam przysyłać. Niedawno (11.7) ich tu przeniesiono z odwachu wskutek denuncjacji siedzącego tam policmajstra Pabianic, Jonina, który rozstrzelał wraz z dwoma strażnikami aresztowanego Gryzła — znany powszechnie łotr, jeden z bohaterów wypraw karnych na Łotwie. Denuncjacje tego łotra były tego rodzaju: odwach — centrum WRO, tu się drukują odezwy, stąd jest rozpowszechniana literatura i prowadzona agitacja wśród wojska itd. Wreszcie dopiął swego i przeniesiono ich tu. Odwach ten tuż obok X Pawilonu — 2-piętrowy gmach. Na dole cele dla żołnierzy podczas śledztwa w sprawach kryminalnych i przewinieniach czysto wojskowych. Na 1-szym piętrze siedzą oficerowie dyscyplinarnie ukarani i „dworianie”<sup>2</sup>, skazani na kilka dni aresztu. Cele ich nie są zamykane 5 okna bez krat. Na 2-gim siedzą skazani na twierdzę i oficerowie pod sądem, cele są zamykane, okna zakratowane — jednak czasami przez całe tygodnie cele otwarte, gdy porządni oficerowie dowodzą warta. Mieli tam wszystkie gazety i bardzo łatwą komunikację ze światem.

Siedział tam 1 r. i 4 m. oficer Szamański, który odmówił w 1905 r. pójścia ze swoją rotą na poskramianie strajkujących robotników, siedział 2 mieś. do sądu kozacki oficer Rubcew, który nie chciał wykonać wyroku sądu polowego — rozstrzelania robotników (sąd skazał go na wydalenie ze służby); siedział 2 mieś. kornet żandarmerii za uwolnienie 10-ciu więźniów politycznych. Obecnie siedzi między innymi kapitan 1-go stopnia z eskadry Niebogotowa, który dostał 10 lat twierdzy za oddanie Japończykom eskadry. Siedzi też podporucznik Deneko (z iwan-grodzkiej artylerii fortecznej), który w kwietniu 1908 r. został skazany na 6 lat rot aresztanckich za odmowę dalszej służby (wyznawca Tołstoja). Wyrok zmieniony na pozbawienie praw oficera.

### *29 sierpnia.*

„Niegdyś znosiłem łatwiej więzienie, teraz już stary jestem i ciężko mi. Wtedy nie myślałem o przyszłości, lecz żyłem nią, bo byłem silny, teraz częściej myślę o niej i jest mi ciężko tutaj. Nie mogę przyzwycząć się, że zamknięty jestem, że nie mam woli swojej, nie mogę się pogodzić z myślą, która coraz częściej przychodzi — za jutro także jak dzisiaj, szare, monotonne, bez wszelkiej treści i sensu. I tęsknota przybiera rozmiary nostalgii, która sprawia fizyczny ból, wysysa krew i każe schnąć. I ciągnie mnie stąd w pola, na łąki — w świat pełen barwy i dźwięków, i blasków, gdzie las szumi, gdzie obłoki białe biegną poprzez niebo w kraje nieznanne — w dal, gdzie powietrze świeże, ożywcze, słodkie jak balsam, gdzie kwiaty pachną, rzeki i strumienie szemrzą i morze wiecznie mówi i o brzeg rozbija swoje fale. I nad tym wszystkim słońce jasne i promieniste lub ciche gwiazdy tajemnicze. I dzień, i noc — i świt, i zmierzch czarodziejski urok tam mają i dają szczęście. Czeka mnie wyrok śmierci; na długie lata katorgi zapewne mi zamienią. W płucach mi coś się zepsuło — 3 miesiące w szpitalu byłem, wróciłem stamtąd przed kilku dniami. Czuję, że niedługo już tu pobędę. Nie skarzę się

I nie przeklinam losu mego, nawet spokojny jestem — chociaż, ach, jak bardzo chcę żyć i uciec stąd. Piszę to, bo nie chcę kłamać. I czyż mam wstydzić się, że to życie kochałem i Kocham, czyż mam kłamstwem pokrywać zgrozę i okropność tego, co zatruwa, brudzi, znikczemnia to życie? I gdybym wyszedł stąd, czyż mógłbym zmienić życie swe i nie wrócić tu? ...”

Takiej mniej więcej treści otrzymałem dziś list od mego towarzysza, który przybył tu z lazaretu przed kilku dniami. Przez okno zobaczyłem go na spacerze i udało nam się porozumieć i nawiązać korespondencję. Trzymano go kilka miesięcy w kajdanach pod pozorem, jakoby uciekł z katorgi, co jest wierutnym kłamstwem. Rozchorował się — 3 miesiące przeleżał w lazarecie. Oskarżają go o współudział w zabójstwie szpiega.

25 sierpnia była sprawa 11-tu z Radomia, oskarżonych o należenie do PPS i napady na monopole.

2 niewiasty uniewinniono, resztę (9) skazano na śmierć, w tej liczbie 2 zdrajców: Harewicza i Tarantowicza. Zamieniono wszystkim: zdrajcom — pierwszemu na 6 mieś. więzienia (tak!), drugiemu na osiedlenie, reszcie na 10 do 20 lat katorgi. Ów Tarantowicz siedział przez krótki czas obok mnie; nazwał siebie Talewiczem. On to żałował, że tak młodo umrzeć musi, i zapewniał, że mając lat 40 miałby nie 17 spraw, jak obecnie, lecz daleko więcej. Spacerują tu też jeszcze dwaj inni szpicle: Sagmann (vel Zwierew, Orłów) w studenckim ubraniu i oprócz tych jeszcze Wolgemut.

### *31 sierpnia.*

Dziś była sprawa 37-miu SD z Warszawy: 12 otrzymało osiedlenie, 25 uniewinniono. 25 była sprawa 7-iu SD z Łodzi, podobno 3 dano po 4 lata katorgi, jednej osiedlenie i 3 uniewinniono. Podobno nie było żadnych dowodów; wystarczyły zeznania pułkownika żandarmerii.

### *6 września.*

Dzisiaj przekonałem się, że podejrzenia moje były słuszne niestety. To Hanka — była w Tworkach, została stamtąd wykradziona przez esdeków z Pruszkowa, potem została arestowana i wyspała tych, którzy ją uwolnili: sama z żandarmami jeździła i wskazywała mieszkania. Podawała tu wszystkim fałszywe nazwisko, swoje właściwe (Ostrowska) ukrywała starannie. Dlaczego wydała? Kto ją wie: może bili, może naprawdę zwariowała. Teraz siedzi od kilku dni w korytarzu nade mną. Dziś dałem znać innym o niej — powinienem był to zrobić. <sup>1</sup> Może z początku będzie się bronić, że to fałsz i nieprawda — walczyć zajadłe choć o odrobinę zaufania, lecz zasłużony jej los — to hańba. Krzyż najcięższy, jaki może przypaść w udziale człowiekowi.

Widuję czasami na spacerze prowokatorów. Dwaj z nich szczególnie są straszni — patrzą w ziemię, twarze jakby blade maski najcięższych zbrodniarzy, o nieruchomym, zastygłym wyrazie potępieńca, całe ich postacie jakby skurczone, jak psów pokornych, gdy na nich się Bnmiarzy. Jeden z nich Wolgemut a drugi Sagmann. Trzej inni nadrabiają minami, trudno by ich z twarzy poznać, kim są. Dwaj zaś jeszcze — śmieją się, żartują i są Weseli; są to zawodowi prowokatorzy. , Dziś 4-ch zakuto, między innymi Montwiłła (siedzi nade mną).

Matka z dwojgiem dzieci dostała podobno 12 lat osiedlenia za to, że lokator podczas rewizji zabił żołnierza i uciekł wraz z jej mężem. Dziś podczas spaceru dała za coś klapsa starszemu swemu synkowi. Widziałem to przez okno i chciałem jej krzyknąć. Tak dziwnie jakoś w więzieniu przez kratę wszystko się wyolbrzymia. A dzieciak, jakby nic, dalej hałasował i biegał po podwórku, pędząc kury i zbierając liście.

U mnie pustka w głowie straszna — przychodzą jakieś sny bezsensowne, w których nic z sobą się nie wiąże — oderwane słowa, ludzie, przedmioty, a gdy wstaję, dzień, który znowu mam przed sobą, przeraża mnie.

Obok mnie siedzi obecnie młody oficer. Z nim wyłącznie prawie utrzymuję stałą korespondencję; chciałby siedzieć ze mną, chociażby na czas jakiś. Nie, wolę już sam być; od jutra będziemy razem spacerowali. I to wystarczy i urozmaici nam samotność — na jak długo?

Waterlos dostał akt oskarżenia o należenie do partii anarchisto w-komunistów (18 mężczyzn i 6 kobiet w tej sprawie; § 102, 2-ga część); 15 lat już dostał za ekspropriację u jakiegoś kupca. Wprost nie chce się wierzyć, gdy się czyta akt o tych napadach i zabójstwach, że to tacy ludzie jak Waterlos są sprawcami i wodzami tych czynów.

### *11 października.*

W nocy z 8 na 9-go powieszono Montwiłła. Już w dzień 8-go rozkuto go i zabrano do celi śmiertelnej. We wtorek 6-go był sąd za udział w napadzie na pociąg z Wołyńcami pod Łapami. On sam nie łudził się i 7-go pożegnał się z nami przez okno, gdy byliśmy na spacerze. Powieszono go o 1-ej w nocy. Kat Jegorka, jak zwykle, dostał 50 rubli. Ostatnie słowa Montwiłła na szafocie były: „Niech żyje niepodległa Polska!”

W nocy z 7 na 8-go też powieszono jakiegoś starca z celi 60. I po tych nocach strasznej zbrodni nic się tu nie zmienia. Jasne słoneczne dni jesienne, żołnierze, żandarmi i zmiany ich, spacery nasze. Tylko w celach ciszej, nie słyhać śpiewów, wielu czeka swojej kolei.

Od 24 września siedzę razem z oficerem, porucznikiem artylerii B. Siedzi już 10-ty miesiąc, oskarżony o to jedynie, że nie doniósł na swego towarzysza, który jakoby miał należeć do Wszechros. Związku Oficerów; oskarżono na tej tylko podstawie, że mieszkał z nim razem. Sprawę prowadzi znany łotr, podpułkownik żandarmski Wonsiacki. Należy do tej sprawy 6-ciu oficerów i około 40 żołnierzy. Wonsiacki od maja obiecuje, że już wkrótce skończy sprawę, i tak zwleka z tygodnia na tydzień. Ostatnio miał już od 14 września przysłać wszystkim oskarżonym akta i już oddać prokuratorowi sprawę — i nic jeszcze nie wiadomo. Wszyscy oficerowie musieli podać prośby o dymisję, inaczej by ich wydalonono ze służby dyscyplinarnie. Wonsiacki mówił, że nie uwolni B. nawet za kaucją, jeżeli nie nadejdzie jego dymisja.

Charakterystyczna rozmowa Wonsiackiego z zawiadowcą X Pawilonu, Uspieńskim (w marcu), który wrócił z sądu: W.: „No, cóż, wszystko w porządku?” — „Tak, wszyscy 5 skazani na śmierć”.

Anarchista Waterlos i pewien oficer siedzą w karcerze od środy (na 7 dni), anarchista Kac z tej samej celi ma odsiedzieć 4 dni, a Marczevska-Ostrowska i robotnica 2 celi nr 20 po trzy dni. Na górze były z celi do celi telefony-dziury w ścianie. Pewnego dnia wszystkie dziury zamurowano. Zaraz tegoż samego dnia więźniowie na nowo odmurowali. Na drugi dzień spostrzeżono i znowu zamurowano na nasz koszt. Wielu z nas potem dało za wygraną, nie chcąc ujadać się wciąż z nimi. Anarchiści jednak zaproponowali dziury mieć zawsze „demonstracyjnie” otwarte; z propozycją tą zgodziły się tylko cele 18, 19 i 20. Waterlosa zawiadowca (Jołkin) kazał wziąć do karceru; przyszło 5 drabów z wachmistrzem i zabrali go, nie zważając na stukanie w drzwi z innych cel. Cele 18, 19 i 20 zażądały prokuratora wbrew namowom innych, by zaniechali tej myśli, wobec tego że prokurator łotr i ukarze jeszcze gorzej.

Przyszędł pomocnik prokuratora. W parę dni po tej wizycie przyszło rozporządzenie prokuratora: posadzić do karceru więźniów z 18-tej, 19-tej i 20-tej celi. Po tym wypadku stosunek pomiędzy więźniami samymi ochłódł i naprężył się.

Taktyka anarchistów — walka, walka i walka o byle co, zawsze, bezustannie; innych — przeciwna: dbać przede wszystkim o zachowanie swych sił, unikać możliwie wszelkich zatargów, zachowując i dbając jednocześnie o należne prawa i o godność. Niedawno na tym tle omal nie doszło do sądu nad jednym z anarchistów, który chciał wywołać awanturę i pociągnąć inne korytarze za sobą kłamstwem, że cały jego korytarz postanowił urządzić awanturę — wtedy, gdy nikt na jego korytarzu pojęcia nie miał o tym.

Od paru tygodni mamy nowego wachmistrza, podobno łotra niebywałego. Postawił go tu Wonsiacki. Widziałem go na widzeniu, przysłuchiwał się pilnie naszej rozmowie, i, by być

bliżej, położył się nieprzyzwoicie na stole, wtrącając się do rozmowy. Nie chciał przyjąć kaloszy, upewniając, że tu kalosze są zbyteczne — beczelny arogant.

Od czasu gdy tu przyszedł, nie można ani wanny się doprosić, ani książek z biblioteki; tzw. „pokupki” zamiast 2 razy — raz w tygodniu. On też na pewno znalazł, że wśród żandarmów tutejszych są rewolucjoniści; poodbierano im i spalono biblioteczne książki rosyjskie; wielu z żandarmów zastąpiono nowymi. Mają ich podobno wszystkich, jako „zepsutych”, odesłać do „eskadronu”, a przysłać nowych. Naczelnik szwadronu nie chce ich jednak przyjąć i błaga generała, by nie dawano mu ich, że „zepsują cały szwadron”, a że ci, których by on musiał na ich miejsce dać, też „zepsują” się tu, stykając się z nami. Prawdą zaś jest, że wojsko w ogóle jest „zepsute”, że już przyszło wielu do wojska „zepsutych”, a ci na swoją rękę psują resztę.

Alarm powstał z tego powodu, że któryś z żandarmów wysłał do gen. Utgoffa list anonimowy, pisany drukowanymi literami, z żądaniem, by im wypłacono prócz 50 kop., które się należą każdemu żołnierzowi, jeszcze 1 r. 50 kop. miesięcznie „dodatkowego” za ich służbę tutaj, a które nie było przez zwierzchność im wypłacane, lecz składane do jakiejś kasy.

### *25 października.*

Od tygodnia znowu siedzę sam na korytarzu nr 1, w celi nr 3. Pięć cel jest tylko na tym korytarzu. Okno wychodzi na park lazaretu. Cicho tu i samotnie. I żandarmi już wszyscy nowi, pozostało tylko paru, najgorszych. Dziś sąsiad wypukał mi, że Waterlos podobno już 12 dni głoduje, żądając lepszego jedzenia, materiałów piśmiennych, kąpieli i przyścia konsula. Podobno jest już nieprzytomny. Po odsiedzeniu 7 dni w karcerze posadzono go do celi nr 50, zupełnie odseparowanej, na dawniejszym korytarzu śmiertelnym, a teraz przeważnie dla bandytów przeznaczonej. Jego i jeszcze jednego anarchistę chcą tu podobno długie lata trzymać nie wysyłając z obawy, że ich odbiją lub że uciekną.

### *12 listopada.*

Trzy dni (7, 8 i 9 bm.) trwała sprawa moja i towarzyszy; trzy dni miałem wielką rozrywkę. Sądziła Izba Sądowa; w dorożce zawożono mnie stąd, w kajdanach na rękach. Byłem podniecony i uradowany, że widzę ruch na ulicach, twarze wolnych ludzi, szyldy i ogłoszenia sklepów, tramwaje elektryczne. Potem spotkanie z towarzyszami i parę twarzy znajomych. Sala posiedzeń sądowych o dużych oknach, akcesoria sądu, wreszcie sam sąd, złożony z 7 osób, prokurator, eksperci, pop i ksiądz, świadkowie, obrońcy, bliscy krewni. Nastąpiła przysięga świadków, ekspertów i tłumacza, zeznania świadków, wreszcie oskarżenie prokuratora, który żądał najwyższej kary z drugiej części § 126 oświadczając, że nie dla poprawienia nas się karze, lecz dla zastraszenia, potem mowy Rotsztadta, który sam się bronił, i obrońców. Wreszcie po przeszło godzinnej naradzie sądu odczytanie wyroku; skazano nas: mnie na osiedlenie, dwóch oskarżonych na 4 l. katorgi i jednego na rok twierdzy. Przewodniczący odczytał wyrok. Skazano nas jednak z § 126 części 2, pomimo iż zostało udowodnione, że partia nasza nie ma składów broni ani materiałów wybuchowych, pomimo że nie było dostatecznych dowodów prawnych należenia naszego do partii. Osądzili nas na podstawie swego „sumienia”, a „sumienie” to okazało się nie mniej czułym na wymagania rządu niżli „sumienie” sędziów wojennych. Mnie jednemu dano osiedlenie, zapewne dlatego tylko, że na drugiej sprawie, o której wiedzieli, będą mogli dać już katorgę. Podobno żandarmi wytaczają mi już i trzecią sprawę. Teraz w Izbie wszystkie sprawy socjaldemokratów będą sądzone z § 102.

Na sądzie samym nie myślałem wcale nad tym, że to nas sadzą i ukarzą na długie lata, nie myślałem, chociaż nie łudziłem się co do wyroku. Patrzyłem na sędziów, na prokuratora, na wszystkich w sali obecnych, na ściany i dekoracje z zajęciem, z wielkim zadowoleniem, że widzę świeże barwy i kolory, różne inne twarze; byłem jakby na jakiejś uroczystości, nie

smutnej i bez grozy, która mnie nie dotyczyła wcale. Oczy moje miały świeży pokarm i cieszyłem się, i byłem cały w oczach  
— chciałem wszystkim coś dobrego powiedzieć.

Tylko przez chwile czułem się inaczej, jakby kogoś miano pogrzebać, gdy wprowadzono nas do sali dla wysłuchania wyroku, gdy otoczyło nas nagle 15—20 żandarmów, i szable ich, wyjmowane z pochew, mignęły w powietrzu przed nami. Lecz nastrój ten przeszedł, gdy przewodniczący zaczął czytać wyrok: Po ukazu jęwo impieratorskawo wieliczestwa itd.

Dziś znowu już jestem sam w swojej celi. Nie łudzę się, że będę miał katorgę. Czy wytrwam? Gdy zaczynam myśleć, że tyle, tyle dni będę musiał przeżyć w murach, dzień po dniu, godzina po godzinie, zapewne tu, w X Pawilonie — lęk mnie ogarnia i wyrывa się krzyk: nie mogę. A jednak będę mógł, będę musiał móc, jak tylu innych może, jak tylu już mogło znieść daleko, daleko gorsze katusze. Myśl nie może pojąć, jak to możliwe, wie tylko, że możliwe, i bunt ustępuje, przychodzi rezygnacja i duma  
— móc wytrwać. Gorąca żądza życia chowa się w głąb i na powierzchni spokój cmentarza. A gdy sił nie starczy, wtedy przyjdzie śmierć, która uwolni od poczucia niemocy i rozwiąże wszystko. Więc spokojny jestem.

Tymczasem jestem zupełnie sam. Na korytarzu nie koresponduję z nikim i odcięty jestem od całego Pawilonu. Wachmistrz znowu inny, tamtego na szczęście zabrano. Był nieznośny i zły. Nowy zdaje się niezły, nie znam go jeszcze. Nowi żandarmi też na ogół nie szykanują nas. Z jednym tylko miałem awanturę. Było już późno w nocy, czytałem. On co chwila podchodził do moich drzwi, ocierał się o nie, podnosił klapę „judasza", patrzył, opuszczał zaraz ze stukiem, nie odchodząc, i znowu podnosił. Poprosiłem go, by nie robił tego, by podglądał, jeżeli mu to sprawia przyjemność, lecz by nie stukał klapą i nie ocierał się o drzwi; za chwilę potem naumyślnie zaczął stukać. Zrobiłem mu awanturę, byłem tak rozwścieczony, że mógłbym go zabić; przyszedł jednak dyżurny i kazał mu zaprzestać tej zabawy.

#### *15 listopada.*

Chcę pisać. Od kilku dni niemal grobowa na moim korytarzu cisza. Jestem ja i ktoś drugi naprzeciwko mnie i więcej nikt. Od kilku dni wszystkich prócz nas przeniesiono gdzie indziej. Cele puste. Nie korespondowałem z nimi. Lecz czułem ich i słyszałem... Dziś pozostałem sam jeden — i ciężko mi w samotności mojej.

#### *4 grudnia.*

Chcę dziś znowu powrócić do naszego sądu.

W tydzień po sądzie zawieziono mię znowu do Izby i tam przeczytano wyrok w ostatecznym sformułowaniu. Okazało się, że uznano mię winnym nie tylko należenia do partii, lecz uznano też wszystkie gołosłowne zarzuty aktu oskarżenia i prokuratora. Tak np. uznano, że między innymi utrzymywałem stosunki z agitacyjno-propagandystyczną komisją partii, na tej tylko chyba podstawie, że w liście jednego ze współoskarżonych była wzmianka o tej komisji bez podanego stosunku do mnie. Uznano, że rozjeżdżałem w celach partyjnych po Królestwie i Cesarstwie, chociaż nie było ani jednego dowodu i żadnej wskazówki, że w ogóle rozjeżdżałem. Dalej, jako najgłówniejsze dowody należenia do partii i działalności w kraju figurowały listy moje, pisane z Krakowa do Zurychu w 1904 roku. Prokurator zrobił wzmiankę w swej mowie, że te listy pisane były z Warszawy, nadmienił, że te czyny moje z roku 1904 nie podlegają amnestii z manifestu październikowego 1905 r., albowiem amnestia dotyczyła tylko części pierwszej, a nie drugiej § 126. Na świetną mowę adwokata, który udowodnił, że listy są pisane z Krakowa i chociażby już dlatego karze podlegać nie mogę, że amnestia dalej rozciągała się na te przewinienia (uwolniono wtedy z manifestu wszystkich oskarżonych o należenie do SD, a także w sprawie drukarni warszawskiej SD), prokurator wcale nie odpowiadał — był pewny swojej

sprawy, a sąd nie zawiódł pokładanych nadziei. Cała obrona — jakby nie istniała. Podaliśmy zażalenie kasacyjne. Rzecz jasna, nie chodzi mi o zmniejszenia kary.

Onegdaj wręczono mi drugi akt oskarżenia w 2-giej sprawie, już z § 102 cz. II. Osiedlenie jest jeszcze najlepszą karą, lecz chcę sam mieć możność wytknąć im to i chciałbym spróbować wszelkich dróg, by zmieniono II część na I ze względu na cały szereg innych spraw, do tej podobnych. Jeżeli nic z tego nie będzie, to będzie dowodem, że cała Izba Sądowa itd. miały na widoku już tylko zemstę.

Drugą sprawę będę miał zapewne za jakie 2—3 miesiące też w Izbie. Teraz wszystkie sprawy SD idą już z § 102, a nie 126 — kara daleko surowsza. Taką instrukcję dano z Petersburga, prawdopodobnie za staraniem Skalona i Zawarzina. Pierwszą sprawę wytaczano z § 12G dlatego tylko, że akt oskarżenia wygotowany już był rok temu i że prokuratoria wojenna nie chciała tej sprawy przyjąć. Druga moja sprawa poszła do Izby Sądowej chyba jedynie dlatego, że dowody są tak błahe, iż są niepewni może usposobienia oficerów. A przed kilku dniami była w wojennym rozprawa 19-tu socjaldemokratów wziętych na zebraniu. Dano im srogie wyroki: 4-rem po 6 lat, 9-eiu otrzymało po 4 lata katorgi; 6-ciu — na osiedlenie. Sądono z § 102, część I.

Wczoraj była sprawa 13-u bundowców z Koła gub. kaliskiej; większa część to malcy 15-letni. Jednego uniewinniono, 2-m dano po 4 l. katorgi, 5-ciu otrzymało po 2 l. i 8 m., a reszta osiedlenie.

*15 grudnia.*

Przed 4-ma dniami odebrano mnie i mojemu towarzyszowi, z którym siedzę, wszystkie materiały piśmienne. Podczas spaceru naszego zrobiono szczegółową rewizję; wróciliśmy właśnie w chwili, gdy wachmistrz grzebał się na podłodze w rzeczach naszych, i zły, czerwony ze wstydu, obruszył się na żandarma, że nas za wcześnie przyprowadził ze spaceru. Zawiadowca chciał też wejść do celi, lecz zobaczywszy nas, zawrócił pośpiesznie i uciekł. Wezwaliśmy go przez żandarma, by przyszedł, lecz dotychczas nie raczył przybyć, i nic wiemy, z jakiego to powodu spadła na nas ta kara. Przed 2-ma miesiącami wyspał się jakiś mój list stąd na wolności — i wtedy zawiadowca mówił mi, że odbierze materiały piśmienne, jeżeli drugi list się wsypie. Przez ten czas nie wysyłałem nic na wolność, a wiem, że ta rewizja dotyczyła mnie, a nie mego współtowarzysza. Wczoraj był dzień pisania listów — kazano pisać w obecności fijoła, byśmy nie odleli sobie atramentu.

Wczoraj w nocy spod naszej celi (z nru 29) powiesili kogoś. Przed tygodniem też z tej samej celi 2-ch. Słysząc przez okno, jak wojsko idzie na miejsce stracenia, potem słyszemy bieganinę w kancelarii, wyprowadzanie skazanych z cel do kancelarii, a potem z kancelarii, ze związanymi już rękami, do karetki. Potem przez całe dni, gdy słysząc przechodzące wciąż oddziały wojska, wydaje się, że to znowu idą na czyjeś stracenie.

Jestem teraz w nrze 1, tuż obok kancelarii. Przeniesiono mnie tu przed 4-ma tygodniami i dano towarzysza, pomimo iż prosiłem, by nie dawano mi, zapewne dlatego, bym był skrepowany i nie mógł mieć bliższej styczności z f i Jolami. Żandarmi boją się rozmawiać, gdy siedzi dwóch. Na drugi dzień zresztą chciano go już zabrać, lecz wtedy my sami zaoponowaliśmy. Towarzysz mój, robociarz, oskarżony o należenie do Frakcji Rewolucyjnej, przez sąd wojenny uwolniony 3 sierpnia. Trzymają go jednak dotychczas wraz z innymi uniewinnionymi. Mają im dać po pięć lat Syberii administracyjnie, czekają na decyzję z Petersburga.

Obok nas siedziała Maria R. Po raz drugi uniewinniona przez sąd wojenny (teraz o zabójstwo strażnika, poprzednio o należenie do Warszawskiej Organizacji Bojowej F. R.) w czwartek, a w sobotę wywieziona do ratusza. Teraz podobno w „Serbii” czeka na wyrok administracyjny z Petersburga. Była ona lubiana przez wszystkich bodaj w Pawilonie za swa wesołość i młodość. Parę dni siedziała z nią kobieta-szpicel, którą ochrana za 15 rb. przysłała tu, by z nią

romansowano i by wyłudzała od łatwowiernych zeznania. Była jednak zbyt niezręczna i zaraz się połapano. Nazwała się Judycka, listy miała zaadresowane Żebrowska, a fijoły nazywali ją Kondracką. Na 2-gim korytarzu siedział tu też szpicel, który się podawał za lekarza ze Starachowic gub. radomskiej. Okazało się, że Starachowic wcale nie zna. Zwracano się też do niego po poradę lekarską : ktoś skarżył się mu, że ma, zdaje się, nerkową chorobę, ten kazał mu opukać nerki „jeżeli oddźwięk będzie jasny, to są zdrowe nerki, a jeżeli głuchy, to trzeba się leczyć” itp.

Waterlos był przez cały czas w szpitalu po głódówce, zdjęto mu kajdany. Teraz już znowu umieszczono go tu — zdaje się z obawy, by nie uciekł z lazaretu. Doktor podobno mówił, że dłużej niż miesiąc żyć nie będzie.

Awetisjanc, b. oficer, który odbywa tu twierdzę, też dogorywa, o czym nie wie sam: suchoty.

Przed tygodniem — 10 dniami aresztowano tu żołnierza, który załatwiał zakupy. Siedzi teraz w celi nr 2, z nazwiska Łobanow. Za co — nie wiem. Żandarmi teraz zestraszeni i boją się rozmawiać z nami; po oczach tylko poznać można, który sprzyja nam. A zawiadowca grzeczny i uprzejmy, lecz zdaje się to fijoł do szpiku kości, powoli zaprowadza coraz surowszy rygor i coraz częściej posługuje się karcerem; żandarmów dobiera najbardziej dla władzy „pożądanych”. Gdy obawia się „zmięknąć”, nie przychodzi wcale, a przysyła tylko kartkę, że tak i tak ukarał; każe podczas spacerów urządzać rewizje.

Widocznie czuje całą podłość służby swojej i wszystkie jej korzyści. W zeszłym tygodniu posadził chorego Kaca do karceru; 4 i 9 korytarz upomniały się o niego i zażądały przyjscia zawiadowcy. Nie przyszedł, dopiero o 2-giej w nocy przyszedł do oficerów (na 4 korytarzu) wachmistrz i skłamał, że już Kac wypuszczony z karceru. Nazajutrz posadzono jednego oficera do karceru. Grupę oficerów rozsadzono po całym pawilonie, chociaż jeszcze niedawno, po ukończeniu ich śledztwa, 9-ciu spośród nich umieszczono w 3-ch celach obok siebie i pozwolono razem spacerować. Dzisiaj znowu oficera Z. przeniesiono do nas, żądano tylko słowa honoru, że będzie pisać na wolność wyłącznie przez kancelarię (niedawno wsypały się na wolności ich grypsy, po czym odebrano im materiały piśmienne).

Śledztwo ich zostało zakończone dopiero przed miesiącem; do 60-ciu osób należy do tej sprawy. Wonsiacki zrobił z Wszechrosyjskiego Związku Oficerów sprawę Wojskowej Rewolucyjnej Organizacji (SD) na tej podstawie, że niektórzy z nich podobno mieli stosunki z SD. Najgłówniejszym świadkiem w tej sprawie jest niejaki Gogman, były oficer z Brześcia, który zde-fraudował kasę wojskową, uciekł, został złapany i osadzony na 1 i 1/2r. rot aresztanckich. Sprowadził go tu Wonsiacki i kazał siedzieć z każdym po kolei oficerem z tej sprawy. Wszyscy wiedzieli, że to szpicel, wystrzegali się go i nic mu nie mówili. On zaś naopowiadał na zeznaniach niestworzone bajdy, to wszystko, o co Wonsiacki ich oskarżał. Robił też takie szwindle: nie wychodził na spacer i podczas nieobecności oficera w cali pisał w książce kropkami rzeczy kompromitujące go. Na jednego z oficerów, zeznaje np., że krzyknął przez okno, gdy Gogman spacerował z 2-ma żołnierzami: „towarzysze, to szpicel, 1 łotr”, itd. Tymczasem wołałem to ja, a on dokładnie mnie wtedy widział, bo mi się przyglądał.

W celi nr 2 siedzi obecnie jeden z 10-ciu wywiezionych z Pawiaka, a potem wydany przez Szwajcarię, oskarżony o zabójstwo Iwanowa na tej podstawie, że chociaż motywy były polityczne, osadzony został jako kryminalny. 1 lutego br. dostał 6 lat w Sądzie Okręgowym. Trzymają go tu, bo w Syberii powinni byliby puścić go na wolną komendę już 1-go lutego 1910 r., a kajdany zdjąć 1-go lutego 1909 r. Zapewne całe 6 lat będą go tu trzymać. Odbywa tu karę prócz niego anarchista Waterlos i kilku innych.

*31 grudnia, .*

Dziś ostatni dzień roku. Po raz piąty już w więzieniu spotykam Rok Nowy (1898, 1901, 1902, 1907, po raz pierwszy 11 lat temu). W więzieniu dojrzałem — w męce, samotności i tęsknocie za światem i życiem. A jednak zwątpienie o „sprawie” nigdy nie zajrzało mi jeszcze w oczy — i teraz, w czasie gdy pogrzebano na długie lata może wszystkie niedawne nadzieje w potokach krwi, gdy przygwożdżono je do słupów szubienicznych, gdy mnogie tysiące bojowników wolności zamknięto do lochów lub rzucono w zasypy śnieżne Syberii — i teraz dumny jestem.

Widzę te masy ogromne, które już się poruszyły, podważyły stare gmachy, masy, w których łonie przygotowują się nowe siły dla nowych walk; dumny jestem, że jestem z nimi, że je widzę, czuję, rozumiem — i że sam przecierpiałem wiele z nimi razem. Tu, w więzieniu, źle jest, nieraz bywa strasznie. A jednak... Gdybym na nowo miał rozpocząć życie, rozpocząłbym tak samo: nie jest to nakaz obowiązku, lecz mus organiczny.

Więzienie tego tylko dokonało, że sprawa stała się dla mnie czymś uchwytnym, realnym jak dziecko dla matki — krwią i ciałem własnym pod sercem noszonym. Więzienie odebrało mi wiele, strasznie wiele, bo nie tylko realne warunki życia, bez których człowiek staje się nieszczęśliwy wśród najniezwyklejszych, lecz i samą zdatność do korzystania z tych warunków, dalej, zdolność płodnej pracy umysłowej, bo tyle lat więzienia, najczęściej w samotnych celach, nie mogło przejść bezkarnie. Lecz gdy w świadomości mojej, w duszy, waży się to, co mi zabrało więzienie i co dało — choć nie mogę odpowiedzieć, co przeważa obiektywnie dla badacza postronnego, lecz wiem przecież, że nie przeklinam ani losu mego, ani długich lat mego więzienia, bo ono rozbija to wielkie więzienie, które się znajduje poza tymi murami. To nie jest wyrachowanie. Jest to rezultat niepoohamowanej żądzy wolności i życia szerokiego. Tam teraz towarzysze i przyjaciele piją nasze zdrowie i ja tu w celi samotnej o nich myślę teraz — niech żyją i kuja broń, i będą godni sprawy swojej.

Dziś zawiadomiono' mnie, że sprawa moja odbędzie się 28-go stycznia 1909 roku (15/1 st. st.) — za 4 tygodnie. Teraz katorgę dadzą, a wtedy trzeba będzie tu siedzieć 4—6 lat. Brrr... nie bardzo mi się to uśmiecha. Od wczoraj znowu siedzę sam. Towarzysza zabrano do innej celi na jego własną prośbę, na 2-gi korytarz, bliżej jego towarzyszy, od których chciałby się dowiedzieć nowin w swej sprawie. Cały czas prawie był niespokojny.

Nie mógł dać rady z sobą, nie mógł ani czytać, ani nic robić. Wciąż chodził po celi i czekał, czekał, przysłuchiwał się wszystkim poruszeniom na korytarzu, każde stuknięcie drzwi z kancelarii, gdy ktoś stamtąd szedł, podniecało go i intrygowało, a potem drażniło. I wciąż w kółko te same myśli — bez treści prawie, a nie dające się odegnać.

Prawie z każdym tu tak bywa; nieraz nie wiadomo skąd przychodzi niepokój i stan oczekiwania czegoś, stan | przykry ogromnie, podobny do oczekiwania na stacji kolejowej gdzieś na wsi, jesienią dżdżystą, wilgotną i chłodną pociągu, tylko tu uczucie to daleko więcej sprawia przykrości. Wtedy się chodzi z kąta w kąt, co jakiś czas ^ stara się coś czytać, lecz żadne zdanie nie dochodzi do świadomości, rzuca się książkę i znowu się łązi po celi, nasłuchując trzaskania drzwiami z tajną nieświadomą nadzieją, że przyjdą i coś ważnego przyniosą. Bywa to najczęściej w dni widzeń lub wtedy gdy się zażądało książek, przyjscia zawiadowcy lub czego innego. Lecz wtedy — chociaż to oczekiwanie też jest przykre i natężenie jego nie odpowiada wcale oczekiwanym rezultatom — jest cel pewien i przez to jest znośniejsze. Oczekiwania zaś bez powodu są nieraz okropne.

Od czasu gdy ostatni raz pisałem, powieszono tu 5 osób. Wieczorem koło 4—6-ej g. przyprowadzono ich do celi nr 29 pod nami, w nocy około 12—1-ej g. wywożono na stracenie.

Od kilku dni słychać z 2-go korytarza śpiewanie Marczewskiej. Dziś śpiew jej drażni mię. Siedzi teraz pod nr 20-ym; widocznie za awantury przeniesiono ją tu.

Znowu mówią o nowowykrytym prowoku z Frakcji, który tu siedzi od bardzo dawna; aresztowany w lutym 1907 r., niejaki Roni., młody smarkacz.

Więźniowie są oburzeni na Waterlosa, przez jego to nieostrożność został aresztowany żołnierz Łobanow. Korespondował z nim i nie palił listów, przy rewizji w celi znaleziono. Siedzi pod nr 50, sam i znowu w kajdanach.

*18 lutego 1909 r.*

Dzień zimowy, słoneczny, cichy. Na spacerze świat cudny, w celi dużo słońca. A w sercu więźnia — tak strasznie. W rozpaczę zastygło i spokojne; pozostała pamięć radości życia i smaga, jakże strasznie, bezustannie żywy wyrzut sumienia. Niedawno spotkałem żołnierza, wyglądał smutno — pilnował nas. Zapytałem, co mu jest; odpowiedział, że w domu chleba nie ma, że kozacy zaćwiczyli różgami u niego na wsi kilku mężczyzn i kobiet, że tam w domu jest okropnie. A drugi raz mówił: „my tu cierpimy, a w domu o głodzie siedzą”. Cała Rosja „o głodzie siedzi”, w całym państwie różgi świszczą. Jęki dochodzą tu poprzez mury z całej Rosji i zagłuszają jęki więzienia. I ci sami oplwani i bici pilnują nas, chowając głęboko w duszy nienawiść straszną — i prowadzą na kaźń skazańców, obrońców swoich. Każdy się boi o siebie i idzie pokornie w jarzmie.

Pode mną od kilku dni siedzi dwu. Oczekują stracenia, nie pukają wcale i są cisi. W zeszłym miesiącu, pomiędzy innymi, powieszono 2-ch za zabójstwo pomocnika generała gubernatora Markgrafskiego, zupełnie niewinnych. Aresztowano jednego żandarma z naszej straży, a 6-ciu wydano stąd. Żołnierz Łobanow dostał 2 i ½ lat rot aresztanckich za przenoszenie listów więźniów. Prawią wszyscy żołnierze-posługacze zostali zastąpieni przez nowych, jako niepewni. Na miejscu stracenia są stale szubienice.

Wiozą skazańców stąd, ręce rzemieniem wiążą im tu, w X Pawilonie. Po trzech skazańców wieszają jednocześnie. Gdy ich jest więcej, wieszają trzech, reszta zaś czeka na miejscu swej kolei i patrzy, jak tracą towarzyszy.

Już po 11-tej wieczór. Pod nami w celi, zwykle cichej — celi skazańców — słychać głośne rozmowy, zamiast słów dochodzą urywane dźwięki, na schodach za ścianą ruch niezwykły, jak w dni tracenia. Drzwi od kancelarii skrzypią, coraz ktoś chodzi do skazańców.

Już ich zabrano, żołnierze pod oknem po drodze przeszli. Poprowadzili na miejsce stracenia dwóch skazańców.

*4 marca.*

25-go lutego znowu powieszono 5-ciu z 16-tu skazanych bojowców F.R. Jednemu ze skazanych powiedziano na drugi dzień po sadzie, że nie zamieniono mu kary. Sąd był 22-go, 25-go w nocy mieli tracić, nie zabrano go jednak z innymi i dopiero w kilka dni potem przyjechał adwokat i powiedział, że zmieniono mu na 10 lat katongi.

Siedzi tu niejaki G. Skazano go na śmierć, lecz zamieniono na 10 lat katongi. Nie chciał wierzyć. Gdy przyjechali doń rodzice na widzenie, nie chciał wyjść z celi, myślał, że do śmiertelnej chcą go zabrać, i na prośbę rodziców gwałtem go przyprowadzono do nich.

Jest tu 5-ciu obłąkanych. Jeden z nich furiat, od dawna siedzi już w pustej zupełnie celi. Okna wybite, zatkałe słomą, po nocach bez lampy. Krzyki rozpacz, wściekłości, jęki i bicie o drzwi, ściany. Zakuto go w ręczne kajdanki, porozbijał je.

Przed dwoma dniami umarł Awetisjanc — siedział tu od 1905 r., pozostawał mu tylko miesiąc do odsiedzenia.

*8 marca.*

Od tygodnia siedzę znowu sam. Przedtem przez 2 tygodnie siedziałem z oficerem B. i tydzień z oficerem Kalininem. Tak niespodziewanie przyszedł do mnie B. i tak się cieszyłem. Wpadł do mnie jak z nieba: wieczorem drzwi z hałasem otworzono, jakby wrzucono go do celi mojej i znowu zamknięto. Przed sądem na kilka dni zawołano oficerów do kancelarii, kazano pokazać, co mają w kieszeniach i porozsadzano ich, a w celi ich (siedzieli razem)

zrobiono rewizję. Zrobiono to z rozporządzenia Utgoffa, przyjechało specjalnie 2-ch rotmistrzów. Rewizja była nadzwyczaj powierzchowna, zabrano na chybił trafił kilka szpargałów, a potem badano ich — i te szpargały. Widocznie cały ten humbug był przygotowany w celu wywarcia wrażenia na sędziach, że są to niebezpieczni ludzie. Po sądzie ktoś mówił, że ta rewizja miała wpływ na wyrok, chociaż absolutnie nic kompromitującego nie znaleziono. Cała ta sprawa była sztucznie przez sąd rozdmuchana. Sąd trwał 5 dni. Podsądnych było 36-ciu: 5 oficerów, 29-ciu żołnierzy i 2-ch uczniów z Białej. Jeden oficer, uwolniony za kaucją, na sąd nie przybył z powodu choroby. Oskarżono ich o należenie do Bezpartyjnej WR Organizacji i Wszechrosyjskiego Związku Oficerów (§ 102, część 1).

Prezesem sądu był Uwerski, najkrwawszy ze wszystkich sędziów. Opowiadają tu o nim, że gdy widzi, że pod-sądny może się wymknąć spod stryka, robi się gburem, nieprzystępnym i wpada we wściekły humor, a gdy widzi, że nie ujdzie, zaciera ręce z zadowolenia, rozmawia grzecznie z adwokatami, jest w różowym humorze. Oskarżał Abdulow. Śledztwo prowadził Wonsiacki — obecnie naczelnik radomskiego gubernialnego zarządu żandarmerii, szubrawiec znany z działalności swojej w Warszawie i na Łotwie. Za pomocą obietnic, słowa honoru, że uwolni, gróźb, bezustannych badań dopiął, że prawie wszyscy przyznali się, że chodzili na zebrania sami i zasypali oficera Kalinina, żołnierza Pańkowa i innych żołnierzy, dopiął tego, że Kalinin i Pańkow przyznali się i opowiadali o sobie rzeczy, o których żandarmi nie wiedzieli, a które na wyrok miały poważny wpływ. Na oficerów działał, wmawiając, że z ich winy siedzą żołnierze i jeżeli oni się przyznają, żołnierzy uwolni. Najważniejszym świadkiem był Gogman-szpieg, o którym wspomniałem. Zeznawał on wszystko, co mu dyktował Wonsiacki, twierdząc, że mu to mówili oskarżeni sami. Ze sztuczek Wonsiackiego na sądzie samym wykryło się, że podrobił list, jakoby pisany przez Kalinina, i kazał aresztowanemu ordynansowi Kalinina odwieźć do Lublina, zanieść pewnemu adwokatowi, który był przedtem oficerem, powiedzieć, że to list od Kalinina i że on sam, ordynans jego — był też aresztowany, lecz go uwolniono i prosi, by ów adwokat bronił Kalinina. Adwokat jednak wyrzucił ordynansa-szpiega z mieszkania. Dalej stwierdzono, że Krakowieckiemu włożono do jego rzeczy nielegalną literaturę WRO (SD); figurowała ona na śledztwie sądowym jako znaleziona u niego. Tymczasem w protokole rewizji dokonanej u niego było napisane, że „nic podejrzanego nie znaleziono”. Cała sprawa powstała wskutek zeznań 2-ch żołnierzy (Stepan Kawtyniow i Iwan Sierżantów), którymi władza posługiwała się jako prowokami. Zeznania ich były podyktowane przez Wonsiackiego — sami na sąd nie stawili się. Świadców obrony wszystkich odrzucono. Przez cały czas trwania sądu był obecny Wonsiacki, który w przerwach konferował z sędziami.

Przeciwko Krakowieckiemu było zeznanie Gogmana i oficera, porucznika 14 Ołonieckiego pułku piechoty (Aleksander Boczarow) i podrzucona literatura. Boczarow na sądzie cofnął swe zeznania. Była to bardzo silna chwila; zeznał, że nie Krakowiecki, lecz on sam należał (obecnie nie należy), że złożył fałszywe zeznanie, które mu kazał napisać Wonsiacki pod groźbą, że go aresztuje i że otrzyma katorgę. Uwerski na to: „Przecież pan jest oficerem”. Boczarow nic nie odrzekł i stał z głową spuszczoną. W sali żywe poruszenie. Wonsiacki zerwał się z miejsca, poszeptał z innymi żandarmami i wyleciał z sali — pojechał do komendanta. Boczarowowi kazano w kilka dni potem podać się natychmiast do dymisji. Krakowieckiemu jednak dano najwyższy wyrok — 8 lat katorgi, chociaż wszystkie dowody upadły na sądzie. Wonsiacki był przekonany, że to bodaj jedyny ze wszystkich prawdziwy rewolucjonista-konspirator (nie pozostawiał za sobą śladów) i dano mu taki wyrok.

Kalinin i Pańkow przyznali się i wyjaśnili, że żołnierze na ławie oskarżonych są zabrani na chybił trafił, że z równą słusnością mogliby *zabrać* całe oddziały, w których oni służyli, że są niewinni, że wśród żołnierzy organizacji nie było.

Jeden z żołnierzy — mówca z bożej łaski — Korei, mówił płynnie i treściwie z pół godziny, że jego praca była natury wyłącznie kulturalnej; dostał za to 8 lat katorgi. Sędziowie nie lubią żołnierzy mówców.

Sędziów było 3-ch: prócz generała Uwerskiego 2-ch zwyczajnych pułkowników z pułku; ci przez całe 5 dni siedzieli jak bałwany i nie powiedzieli ani słowa.

Wyroki opiewały: Krakowiecki i żołnierz Korei 8 lat katorgi, oficerowie Kalinin i Z., żołnierze: Pańkow, Isajew i Sinicyń po — 6 lat, jeden żołnierz-felczer 7 lat, 14 osób, w tym 12 żołnierzy — na osiedlenie, 3 żołnierzy po 1 roku batalionu dyscyplinarnego, 1 oficer i 9 żołnierzy — wolnych. Skałom zamienił tylko Pańkowowi i Sinicyńowi na osiedlenie. Sąd zastosował do oficerów i do żołnierzy § 273—274 Kodeksu Wojennego. (Powiększono im karę o 2 lata, jako będącym w czynnej służbie). Okazało się, że do oficerów, jako będących już na dymisji, nie miano prawa zastosować tego paragrafu (było odpowiednie wyjaśnienie senatu), adwokaci jednak spostrzegli się za późno, już po zatwierdzeniu wyroku przez Skałona. Podali skargę do Petersburga. Pańkowowi zamieniono dlatego, że na sądzie wyjaśniło się, iż był pod wpływem Kalinina.

Cała sprawa była rozdana przez Wonsiackiego dla pułkownikowskich szlif i dostał je też. Byli zebrani ludzie z różnych krańców Królestwa, nic z sobą wspólnego nie mający (Biała, Kielce, Warszawa, Zambrów), byli zabrani przygodni żołnierze, ugrupowano ich koło 2-ch nieprawomyślnych oficerów — i utworzono olbrzymią sprawę WRO żołnierskiej i oficerskiej, która mogłaby zgubić samodzielną. Lecz oto zjawia się rycerz bez trwogi — Wonsiacki i wyplenia kramolę: jakiejże chwały i nagrody jest godzien!

Mojego współtowarzysza B. uwolniono wprost za bramę Cytadeli. Tam od dwóch dni już czekała na niego narzeczona jego i ciotka, dobra, poczciwa kobieta, która wybierała się z nim razem jechać na Syberię. Byłem pewny, że uniewinnią go, oskarżono już nie o „ukrywanie”, lecz o należenie do organizacji, wyłącznie na podstawie listów siostry do niego, z których widać było jego „wzrastające usposobienie rewolucyjne”. Widocznie trzymano go 14 miesięcy po to tylko, by dać sądowi sposobność uwolnienia. „Nasz sąd wojenny jest bezstronny”, „nie jest fagasem ochrony” — tak mi mówił kiedyś pułkownik żandarmerii Suszkow. A jednak po każdym posiedzeniu sądu B. wracał albo pełen otuchy i nadziei, albo pewien prawie, że go skazają. Szczególnie po mowie Abdułowa — był tego pewny. Gdy wrócił po wyroku, był już tak zmęczony, że nie widać było radości. „Powinszujcie” — powiedział ospale. A potem obawy, by go administracyjnie nie trzymano, bóg wie jak długo, jak innych. Przecie Gorbunow, urzędnikowi ochranki, sprawę umorzono, a już siedzi przeszło miesiąc. Trzej robotnicy uniewinnieni 4 sierpnia, a siedzą dotychczas i mają otrzymać Jakuty. Uspokajałem B., właściwie upewniałem, że go uwolnią na pewno, że ochrona nic do niego nie ma, podburzałem, by zażądał od zawiadowcy natychmiastowego uwolnienia. Zawiadowca nie ma prawa go trzymać po dostaniu papierów z sądu, lecz nie chciał go puścić bez rozporządzenia Utgoffa. W niedzielę Utgoff go nie przyjął, w poniedziałek miał znowu być u niego o 2-iej, o 4-iej. Wachmistrz, znany tu jako maniakkłamacz, powiedział, że Utgoffa zawiadowca i dziś nie zastał. Nagle o wpół do 6 kazano B. ze wszystkim się pakować. „Do ratusza?” — „Nie, prosto za bramę”. Jak grom spadło. Nie wiedział, co pierwaj chwycić — mnie serce się ścisnęło. Co robić? Cały spokój gdzieś zginął. Zapakowałem jego rzeczy i nastąpiła potem chwila ciszy. Ja już cieszyłem się za niego — a teraz, pusta cela moja, przeklęte ściany, dlaczego nie ja, kiedyż ja. „Alosza, spełnijcie prośbę moją, pamiętajcie”, mówiły usta moje wykrzywione i chłodne. Jakże szalenie uściskał mnie, żegnając się.

Lubiłem go, taki młody — i czysty — i tyle ma przed sobą. W godzinę potem przyprowadzono Kalinina. Był tydzień u mnie ...

Teraz znowu siedzę sam. Widzenia od 3 tygodni nie mam, listów od 2 miesięcy. Czy co się stało? — Co? Może konfiskują listy, karty — i nic nie dochodzi. Myśl wysnuwa

najokropniejsze obrazy — to wszystko być może, a ty nic nie wiesz i nie możesz wiedzieć. Cztery ściany. Jakże tu obcy jestem, jakże są wstrętne. Czyż nie wyjdę stąd przez cały dzień dzisiaj — i jutro, i pojutrze? Okropne. Jest sąsiad obok — i chcę pukać mu, że go kocham, że bez niego żyć bym nie mógł... A tamci tak daleko. Co napisać im? Znowu tęsknotę swoją? Jestem z nimi zawsze — wiedzą o tym, a pamięć ich jest szczęściem moim.

*23 kwietnia.*

Wiosna. U nas w celi jasno — dużo słońca. Ciepło. Na spacerze powietrze miękkie — pieści jak ręka ukochanej. Na kasztanach i krzakach bzu pączki nabrzmiały i już się rozwinęły w malutkie liście zielone, uśmiechające się do słońca. Trawa na podwórzu wyciągnęła się do słońca i cicha, wchłania powietrze i promienie wskrzeszające do życia. Cicho ... Nie dla nas wiosna. My w więzieniu. W celi drzwi wciąż zamknięte; za nimi i za oknem żołnierze uzbrojeni ani na chwilę nie opuszczają swych posterunków — i jak przedtem co dwie godziny słyhać, jak zmieniają się i szczęk karabinów, i ich słowa: „pod sdaczu sostoit post nr pierwyj.. .” S jak przedtem, żandarmi nam drzwi otwierają i na spacer prowadzą, jak przedtem, słyhać brzęk kajdan i trzaskanie otwieranych i zamykanych drzwi. Za oknem od samego rana przechodzą oddziały wojska, cały dzień odzywają się ich śpiewy, czasami słyhać muzykę wojskową.

*27 kwietnia.*

Chcę zanotować parę faktów. Przed tygodniem znaleziono w ustępie jednego z korytarzy na piecu brauning i kilka kuł. Przyjechał żandarmski pułkownik dywizji Ostafjew, zwołał fijołów, groził im, że źle nas pilnują, że utrzymują z nami stosunki, że on ich wszystkich powystrzela, zamorzy w katordze, skuje w kajdany, że za byle co będzie ich pod sąd oddawał; kilku z nich bił po twarzy. Nie protestowali. Nie chcą opowiadać nam o tym. Wstyd im. Lecz jeszcze bardziej zbliżają się do nas. Z tego powodu pisał mi jeden z towarzyszy: „Z racji tego przypomniła mi się historia, którą opowiadał mi naoczny świadek. Słyszeliście zapewne, że w r. 1907 okropnie się znęcano nad więźniami w fortach. O ile zjawiała się łotrowska warta, przechodzili istne tortury. Między innymi nie pozwolono im przez szereg godzin wychodzić do klozetu. Ludzie się strasznie męczyli. Ktoś nie wytrzymał i gdy potem chciał wynieść kał, zobaczył to oficer, zaczął mu wymyślać, kazał zjeść i bił po twarzy. No, i tak samo wszyscy milczeli! Tyle tylko, że nie pozwolili mu samemu wyjść, lecz poszli wszyscy z nim razem, by go nie bito. Gdy się oburzałem słysząc to, naoczny świadek odpowiedział: a cóż było robić? Gdybyśmy słowo powiedzieli, to by nas wszystkich pozabijali i tłumaczyliby się, 23 był bunt!” — W 1907 r., gdy siedziałem na Pawiaku, żołnierz uderzył jednego z więźniów, gdy na spacerze rozmawiał z drugim przez okno. Spacerował cały oddział — z górą 40 osób. Ktoś chciał rzucić się na żołnierza, inni odciągnęli go. Zażądaliśmy zmiany żołnierza, władza więzienna też zażądała, naczelnik warty jednak nie zgodził się i sam nam groził. Gdy jeden z więźniów zaprotestował, żołdak chciał go pchnąć bagnetem, lecz inni go zasłonili i musieliśmy spacer opuścić. Gdy wkrótce potem żołnierz zabił wyglądającego przez okno Helwiga — wezwany prokurator Izby, Nabakow, naigrawał się, mówił, że „sprawujecie się obrzydliwie. Należałoby was wszystkich powystrzelać”. — Wobec tego czy są możliwe skuteczne protesty? Każdy protest taki może wywołać tylko rzeź. Każdy czuje zupełną swą bezsilność w takiej atmosferze — i znosi poniżenia lub z rozpacz rzuca się na oślep, by świadomie śmierć znaleźć.

Siedzę teraz z M., osadzonym za należenie do SD na osiedlenie. Był aresztowany w grudniu 1907 r. w Sosnowcu. Opowiada mi następujący wypadek, którego był naocznym świadkiem: W końcu grudnia przychodzi do więzienia (w Będzinie) z rana strażnik z żołnierzem, wywołują do kancelarii jednego z aresztowanych, niejakiego Straszaka (przedzarza z fabryki Schoena), oglądają go uważnie, nic nie mówią i wychodzą. Po południu przychodzi sędzia

śledczy, ustawia w rząd 6 wysokich więźniów, między nimi i Straszaka, przyprowadzają żołnierza i sędzia każe mu poznać domniemanego uczestnika zamachu na szpicla. Żołnierz wskazuje na Straszaka. Straszak ów był to zupełnie niewinny robotnik, który z żadną z partii nie miał nic wspólnego. Żołnierz zaś był ten sam, który przychodził ze strażnikiem rano i oglądał Straszaka. Więźniowie podali zażalenie do prokuratora. Strażnik więzienny bał się, lecz obiecał zaświadczyć, że to ten sam żołnierz, który był z rana. Po tym w Piotrowie M. mówiono, że Straszaka powiesili.

*6 m a j a.*

1-szy maja przeszedł. Nie było w tym roku świętowania. A u nas w nocy z 1-go na 2-gi powieszono kogoś. Była cudna księżycowa noc, długo nie mogłem zasnąć. Nie wiedzieliśmy, że był sąd niedawno, że mają wieszać. Raptem koło 1-szej na schodach do kancelarii wszczął się ruch, jak zwykle w noc stracenia. To przyszli żandarmi, ktoś z władzy, ksiądz; potem za oknem w ciszy nocnej przeszedł oddział wojska, miarowo, twardo tupiąc nogami, jak zwykle. Towarzysz mój spał, sąsiad też. Zapytałem się żandarma, co to za ruch. Odpowiedział mi, że to zawiadowca się włóczy. Wiedziałem już na pewno, że wieszają. Był to robociarz, krawiec, Arnold z imienia. Tak przeszedł nam 1-szy maja. Był to dzień widzeń. Wiedzieliśmy więc, że w mieście nie świętują. Tam w masach jeszcze gorzej — w codziennym szarym życiu tej samej co i dawniej nędzy i pracy, i zależności. Tak musi być — inaczej być nie mogło. Lecz nawet ta myśl i pewność nie może dać nikomu ulgi; chyba tym tylko, dla których ta cała walka była tylko widownią przygodnych popisów. .. Inni radzą teraz wziąć się wyłącznie do pracy legalnej, to jest w rzeczywistości wyrzec się walki. Inni nie mogą przeżyć i odbierają sobie życie.

Ja odpędzam myśl samobójczą — chcę mieć siły przejść całe piekło, błogosławić, że cierpię razem z innymi i jeszcze wrócić i walczyć, j zawsze rozumieć tych, którzy w tym roku nie odpowiedzieli na nasze wezwanie.

Dziś znowu jestem sam. Towarzysza mego zabrali dziś rano już do arsenału dla wysłania na osiedlenie, j Młody chłopak, wyrzucony ze szkoły (bojkot). 3 razy aresztowany od 1905 r. Ostatnim razem siedział 17 miesięcy, 2 miesiące po sądzie musiał czekać na wysłanie. Pawilon przepelniony obecnie. Wczoraj był sąd 13-tu z Zagłębia o należenie do „Fracji” i napady. Trzy stryki przynieśli. Przed paru dniami przywieziono 14-tu z Piotrkowa, oskarżonych o to, że wiedzieli i nie donieśli o mającym nastąpić zabójstwie fabrykanta Silbersztajna w Łodzi (w tej sprawie Kaznakow<sup>1</sup> rozstrzelał 8-miu bez sądu). Sad wojenny w Łodzi skazał zupełnie niewinnych na katorgę od 8 do 15 lat; teraz ta sama sprawa będzie powtórnie rozpatrywana. Wszyscy są zakuci, siedzą już od września 1907 r.

*10 m a j a.*

Dziś mają 2-ch wieszać — Grabowskiego i Potasińskiego. Ten ostatni siedzi pod nami, nie wie jeszcze nic, mówił tylko, że proponowano mu dziś rano spowiednika — nie domyśla się jednak jeszcze i prosił, by przyszedł adwokat; przypuszcza, że kasacja poszła do Petersburga. Za godzinę ich wezmą. Przed godziną F. dowiedziała się, że zamieniono jej 4 l. katorgi na 8 miesięcy więzienia, jak również trzem jej współoskarżonym — na osiedlenie; nie wie, że mają dziś wieszać i ucieszona śmiała się i mówiła na korytarzu. Sąd jej był w sobotę, przed paru dniami, dali wszystkim czterem po 4 l. kat. za należenie do lewicy; jedyną winą F. było to, że mieszkała w jednym mieszkaniu, choć w osobnym pokoju, z kobietą, która była zesłana i uciekła z Syberii. U tej ostatniej znaleziono bibułę. Dziś osądzono też 8-miu czy 9-ciu z Lublina; wszyscy, prócz jednej kobiety, dostali stryki.

*2 c z e r w c a.*

Wśród naszych fijołów od kilku dni panika. Podobno wsypał się na wolności list stąd, w którym ktoś opisuje sympatie, które nam okazywali fijoły. Aresztowano jednego z żandarmów, przysłano tu szpicla z ochrony w przebraniu wachmistrza żandarmskiego, który specjalnie śledzi tylko fijołów i szuka „winiących”, wszystkich zastraszono sądem za byle co, za danie więźniowi spaceru dłużej jak kwadrans zagrożono aresztem. Wachmistrz--szpicel cały czas łązi po X Pawilonie, podsłuchuje, podgląda, by złapać na gorącym uczynku rozmowy z więźniem. Poodbierano im już przed paru tygodniami stołki, by cały czas uważniej nas pilnowali. Są strasznie zmęczeni, stać muszą po cztery godziny, często 12 godzin na dobę.

Z Waterlosem znowu coś było. Przed kilku dniami pokazywał przez okno ręce zakute. A przed 2-ma tygodniami zawiadowca podglądał do jego celi przez „judasza” i zauważył, że schował gryps za rękawem; zawołał wachmistrza i dyżurnego i kazał odebrać gryps. Waterlos wyrwał się im, wskoczył na łóżko i połknął gryps; wachmistrz z dyżurnym rzucili się za nim na łóżko, schwycili go za gardło, lecz grypsu nie dostali. Siedzi wciąż w tej samej celi, odseparowany od innych, pilnowany podobno usilnie z rozporządzenia Utgoffa za planowane jakoby przez niego ucieczki. Laskowski zachorował: nie jadł nic przez cały tydzień z obawy, że go otrują. Przeniesiono go do szpitala. Znowu siedzę z drugim. Nie mogę teraz sam siedzieć, muszę mieć myśl rozerwaną. Muszę mechanicznie szukać zapomnienia i odpędzać myśli, zmuszać siebie do śledzenia biegu myśli nie moich i starać się samemu wpleść w nie. Opowiada mi więc mój towarzysz. o swoich przygodach myśliwskich w Syberii, planujemy wspólne włóczęgostwo po Galicji pieszo, z gramofonem — poprzez wsie, lasy i góry. Wciąż wracamy do tego projektu, dodając coraz nowe szczegóły, coraz nowe kombinacje.

*3 czerwca.*

Nie mogę dziś wcale zasnąć. Już przed godziną zabrano nam lampę — jasno zupełnie, ptaki się drą, od czasu do czasu skądś wrona zakracze. Towarzysz mój śpi niespokojnie. Dowiedzieliśmy się, że dwom zatwierdzono wyroki śmierci; dziś w nocy nie zabrali ich, widocznie więc jutro. Każdy z nich ma zapewne rodziców, przyjaciół, narzeczoną. Ostatnie chwile; zdrowi, pełni sił — bezsilni. Przyjdą i zabiorą, zwiążą i *zawiozą* na miejsce stracenia. Naokoło twarze wrogów lub tchórzy; dotknięcie kata, ostatni rzut oka na świat, zarzucony kaptur i już ... Byle prędzej, byle mniej myśleć, mniej czuć — błysnie myśl — niech żyje rewolucja — żegnajcie na wieki — na zawsze.

A dla pozostałych jutro taki sam dzień się rozpocznie, jak i przedtem. Tylu już tam poszło. I zdaje się, jakoby ludzie nie czuli, już przyzwyczaili się i nie sprawia to na nich żadnego wrażenia. Ludzie? nie jestem z nich wyłączony. Nie sędzią jestem: sądzę o nich podług siebie. Jestem spokojny, nie buntuję się, nie rzuca się już dusza jak to niedawno jeszcze. Na powierzchni cisza. Na wiadomość — coś drgnęło . . . jeszcze jedna kropla i spokój. A poza świadomością dusza przeżywa cały proces już tyle razy powtarzany i gromadzi się jad i gdy czas nadejdzie, wybuchnie zemstą i odwetem, nie da zakosztować zwycięstwa obecnym zwycięzcom — katom. A ta pozorna obojętność ludzi jest straszną walką o życie, jest bohaterstwem może. Życie — czyż nie znaczy to żywić niezłomnie wiarę w zwycięstwo? Bo nie ma teraz innego buntu prócz bezowocnego, jałowego marzenia o zemście . . . dokonania zabójstwa w odwet za zbrodnie. Już i ci, którzy tak marzą, czują, że te marzenia nie są odpowiedzialnością na zbrodnie, dokonywane wciąż, że już nic nie zmaże z duszy piętna tych zbrodni. Marzenia te mówią tylko o niewygasłej wierze w zwycięstwo ludu, o okropnym odwecie, który szykują sobie obecni kaci. A w duszach współczesnych widzów nagromadza się coraz straszniejszy ból i zgroza, i przerażenie — a odpowiada im zewnętrzna obojętność, aż wybuchnie wściekłą pożogą — za tych, którzy nie mieli sił być obojętnymi i odebrali sobie

życie, za targnięcie się szakali na najwyższy instynkt człowieka — instynkt życia, za tę grozę i przerażenie, które ludzie przeżyć musieli.

*6 czerwca.*

Wiosna już przeszła. Upały. W celi duszno. Nie wyjęto nam dotychczas podwójnych ram i po długich staraniach obiecano wyjąć w tym tygodniu dopiero. Okna zabite gwoździami, lufciki są zakryte gęstymi siatkami, by nawet zapalki nie można było wyrzucić za okno. W celi zupełnie brak powietrza. Od paru dni dają nam spacer po 20 minut, za parę dni zniżą na powrót do 15 minut, bo znowu przywiozą wielu nowych. Przed tygodniem wywieziono stąd do Łomży wielu kajdaniarzy i wszystkich skazanych na osiedlenie. Dwie kobiety wywieziono na „Serbię”. Ze starych żandarmów pozostało bardzo niewiele, bo pozmieniano ich na nowych; ci wyglądają na tchórzów i czarnosecińców. Wciąż klapią teraz wizyterkami, zaglądnąc do nas. Skargę Waterlosa o pobicie prokurator zostawił „bez skutku”.

*20 czerwca.*

Żandarmi nasi są zupełnie sterroryzowani. Wachmistrz wciąż ich śledzi i pilnuje, poza ich służbą na korytarzach męczy „nauką” i ćwiczeniami, tak że nie mają teraz ani chwili wolnej. Rozmawiać z nami boją się, bo zawiadowca obiecuje żołnierzom z karaułu, którzy stoją na korytarzach, *znaczną* nagrodę, jeżeli który, zauważywszy, że żandarm rozmawia z więźniem, doniesie. Aresztowany fijoł wciąż siedzi. Podobno ochrana wpadła na trop szykującej się czyjejs ucieczki. Pomędzy f i Jolami i więźniami kursują najrozmaitsze wieści, że to ten, to ów spośród więźniów sypie.

Okazuje się, że powieszony przed dwoma tygodniami wraz z Piekarskim Rogów był zupełnie niewinny. Przybył on do Radomia w kilka dni po zarzuconym mu zabójstwie żandarma Michajłowa. Piekarski (Rydz) wskazał, że już skazano masę niewinnych w tej sprawie (Szenko i inni), że i teraz może skazą zupełnie niewinnego Rogowa, że on jeden jest winny. No i skazano Rogowa. Prezesem był znany łotr Koziółkin. Skałon zatwierdził wyroki. Na skutek prośby, wysłanej przez krewnych i adwokata do Petersburga, konfirmację<sup>2</sup> przejrzano jeszcze raz, przy czym Koziółkin oświadczył, że dla sądu nie było żadnej wątpliwości co do winy Rogowa; tymczasem sędziowie-pułkownicy mówili potem adwokatom, że sami prosili Koziółkina o zaproponowanie Skałonowi złagodzenia wyroku, bo nie są pewni winy Rogowa.

Siedzimy teraz w innej celi, 11-tej. Więcej tu powietrza, z okna widać kawałeczek Wisły, czasami widać tratwy, a daleko za wałem las i małe wzgórze. Trzeba włożyć na okno, by zobaczyć. Nieraz talk włączymy, czepiając się kraty i patrzymy, aż nam ręce zdrętwieją. Wyjęto nam przecie wreszcie ramy zimowe. Pomimo obietnicy zawiadowcy trzeba było wciąż przez kilka dni im przypominać. „Dobrze” odpowiadają dyżurni i idą sobie, zamykając drzwi; znowu trzeba wołać i znowu „dobrze, powiem zawiadowcy”.

*25 czerwca.*

Otrzymałem następujący list od więźnia z Ostrowca: „W maju 1908 r.znaczano do Ostrowca kapitana Aleksandrowa (naczelnika straży ziemskiej pow. grójeckiego, znanego inkwizytora) i mianowano go naczelnikiem ochrany ostrowieckiego okręgu. Rozpoczął on swoją działalność z całym oddaniem się i prawie systematycznie co kilka dni aresztował po kilka lub kilkanaście osób aż do połowy stycznia b.- roku; w tym właśnie czasie spośród aresztowanych w ciągu paru miesięcy i trzymany w więzieniu wyłowił się prowok Wincenty Kotwica (agitator PPS) i wskazał na Staniszewskiego i Bolesława Lucińskiego, jako członków ostrowieckiego komitetu lokalnego PPS. Facetów aresztowano i rozpoczęto torturowanie. Aleksandrów mieszka na końcu miasta i w tymże lokalu ma swoją kancelarię, areszt zaś, w którym trzymano tych facetów, jest na drugim końcu miasta. Gdy więc strażnicy

przyszli do aresztu po Staniszewskiego, wezwanego na badanie, związali mu obydwie ręce w tył postronkiem; koniec postronka trzymał strażnik, inni zaś strażnicy otoczyli ich kołem i przez całą drogę z jednego końca miasta na drugi popędzali Staniszewskiego, prowadzonego na postronku, to batami, to kolbami karabinów, to wreszcie kułakami, nagłąc do pośpiechu. Kiedy wreszcie Staniszewski stanął przed obliczem Aleksandrowa, ten zaproponował mu przyznanie się, że jest członkiem komitetu, gdyż to mu karę złagodzi. Gdy na propozycję Staniszewski milczał, Aleksandrów rozkazał swoim oprawcom wymierzyć mu batami 25 uderzeń, nadmieniając mu, że o ile się nie przyzna po 25, każe mu dać drugą porcję i więcej; groził 250 uderzeniami. Po tym rozkazie oprawcy rzucili się na Staniszewskiego, usiłując ściągnąć z niego ubranie. Skazany jednak nie pozwolił się szarpać: sam się rozebrał i na życzenie oprawców położył się na podłodze. Dwaj strażnicy chcieli się usadowić jeden na nogach, drugi na głowie swej ofiary, lecz Staniszewski odezwał się: „jeżeli choć raz się ruszę lub krzyknę to nie 25 ale 100 batów mi dajcie”. Nahajka poszła w ruch, po 5 jednak czy 6 uderzeniach Aleksandrów rozkazał wstrzymać się. Gdy badany się ubrał, zrobiono mu na nowo propozycję przyznania się, a gdy milczał, rozkazano strażnikom zagrać z nim w „ciuciubabkę”. „Gra” jest taka: strażnicy robią koło, jak do „ptaszka”, i puszczają w środek swoją ofiarę, kułakując ją i popychając od jednego strażnika do drugiego. Gdy po paru takich próbach Aleksandrów nie mógł nic wydobyć, postawił mu do oczu świadka Kotwicę, który przemówił: „co się pan będzie zapierał, kiedy przecież ja sam na pana głosowałem”.

Po aresztowaniu Lucińskiego Aleksandrów zaczął go indagować w ten sam sposób. Luciński przyznał się, że był członkiem lokalnego komitetu. Aleksandrów widząc w nim podatny materiał obrał inną taktykę. Zaczął ubolewać nad Lucińskim, że cierpi niewinnie, że go szkoda, bo młody i ma żonę, ale widzi dla niego deskę zbawienia: chcąc się uwolnić od kary za niepopelnione przestępstwa, powinien tych wszystkich ludzi, którzy go namówili do partii, wydać, a wtedy kara będzie mu darowana i zostanie wypuszczony na wolność. Luciński w zupełności do tego się zastosował i zaczął sypać... Przy jego i Kotwicy pomocy wyłowiono wszystkich, kto tylko nie zdążył drapnąć. Wielu cofnięto z zesłania i nawet ze służby wojskowej, aresztując ich za dawne grzechy. Oprócz znęcań, jakie stosowano do Staniszewskiego, Lucińskiego i innych, były fakty takie: przyjechał tu z nami do X Pawilonu Szcześniak (młody chłopak; ma 11 spraw gardłowych) wsypany przez Kotwicę. Gdy nie chciał się przyznać do zarzucanych mu czynów, a żona Aleksandrowa nie mogła słuchać krzyku bitego, brano go wieczorem o 10—11 godzinie i prowadzono w pole za miasto, tam rozbierano i bito do utraty przytomności, po czym odprowadzano do kozy i wprost rzucano częstokroć nieprzytomnego na podłogę lub prycę; na drugi dzień rano prowadzono obitego wczoraj przed oblicze Aleksandrowa, a gdy znów się wypierał, wieczorem powtarzała się egzekucja. W ten sposób załatwiono się z bardzo wielu ludźmi. A., członek lokalnego komitetu, wyprowadzony pewnego wieczoru na taką operację, chciał rozbić sobie głowę o ścianę, lecz tylko się skaleczył. Obito go za to ucziwie i założono mu na ręce sztywne żelazne dyby, w których siedział ze 3 tygodnie...

Wczoraj w nocy powieszono Wólezyńskiego. Siedział naprzeciwko nas z kimś drugim. Młody, ładny chłopak. Widzieliśmy go przez szparę w drzwiach. Wyszedł spokojny, zapytał się, czy ma rzeczy zabrać, nie pożegnał się z towarzyszem; poszedł do śmiertelnej celi o 9-ej wieczorem, a przed pierwszą słyszeliśmy, jak szedł oddział wojska.

*26 czerwca.*

Na 1-szym korytarzu siedzi niejaki Sz. Przed 5 miesiącami był aresztowany w Hamburgu za znalezione u niego broszury anarchistyczne. Nie chciano go tam oddać pod sąd, lecz wysłano do Berlina dla odstawienia do rosyjskiej granicy. Nic nie pomogły żądania jego, by go wysłano do Austrii; odstawiono go do Rosji, jako rosyjskiego poddanego (z Włocławka). Pomimo że nie chciał brać z sobą swych broszur i 2-ch brauningów,

zapakowano mu to i razem z nim zabrano. Na komorze w Wierzbołowie niemiecki agent polityczny wskazał na brauningi władzom rosyjskim. Siedzi tu, żadnej sprawy nie ma. Trzymają go, podobno dwóch żandarmów nie może się pogodzić z sobą: jeden proponuje odesłać go z powrotem za granicę, a drugi — wysłać administracyjnie w głąb Rosji. Kac, którego wysłano z Berlina rok temu, siedzi dotychczas — żadnej sprawy i nie ma, mają go administracyjnie wysłać. Pod nami siedzi niejaki Brozych, robociarz z Woli, aresztowany w Wiedniu 30 października i też wydany Rosji. Na 4-tym korytarzu siedzi komisarz 2-go cyrkułu w Łodzi, oskarżony o należenie do PPS, o uwalnianie politycznych, o udział w zabiciu strażnika w Ostrowcu, gdzie był pomocnikiem komisarza.

Dziś był sędzia śledczy u mego towarzysza; zakończono już śledztwo w sprawie zabicia Kozery (szpicla). Sam jeden zapewne będzie stawał do sprawy — innym umorzą. Szpicle twierdzą, że widzieli go razem z zabitym na parę chwil przed zabójstwem. Kłamią najbezczelniej, ale oni nie może ustalić swojego alibi w chwili zabójstwa, władza zaś przechwala się, że nie ma zabójstwa ani napadu, które by nie były zupełnie wykryte — tak pisał w raporcie swym gubernator radomski — muszą więc kogoś skazać i winnymi muszą być ci, którzy im wpadli w ręce.

Żandarmi nas wciąż się boją: nie tylko nie rozmawiają, lecz wstydzą się w oczy spojrzeć lub starają się nadać sobie groźną minę.

#### *1 lipca.*

W uzupełnieniu wiadomości, podanych poprzednio, mój sąsiad mi pisze: „Nazwiska strażników Aleksandrowa : Prygodicz (wachmistrz), Aksjanow, Łukaszuk, Jakimczuk i Frejman (pisarz kancelarii). Ajenci ochrony cywilni, płacni po 30 rb. miesięcznie, nie licząc 10 rb. prawie stałych dochodów miesięcznych: Kotwica Wincenty i Luciński Bolesław. Kotwica, aresztowany 16 sierpnia 1908 r., oskarżony o należenie do PPS Fr. (agitacja), wypuszczony z aresztu, niby za poręczeniem, 30 kwietnia i tegoż dnia wstąpił do ochrony. Luciński aresztowany 30 stycznia 1909, oskarżony o należenie do PPS (jako członek lokalnego komitetu ostrowieckiego), wypuszczony z aresztu 11 maja i tegoż dnia wstąpił do ochrony. Co do ofiar, oto parę danych: Romanowski Stanisław, aresztowany wiosną 1908 r., był wiązany postronkami i prowadzony do aresztu do ochrony; wieczorem o godz. 9 — 10 prowadzono go w pola za miasto, tam bito i nalegano, by się przyznał do zarzucanych mu czynów. Gdy bicie nie pomogło, stawiali go strażnicy pod drzewem i przywiązywali, następnie odchodzili o kilkanaście kroków i celowali do niego z brauningów, strasząc, że o ile się nie przyzna, będzie zastrzelony. Nic jednak nie wymogli i Romanowski został odesłany do więzienia sandomierskiego, gdzie przebywa do dnia dzisiejszego.

Orłowski, aresztowany w końcu listopada 1908 r., gdy przyznać się nie chciał do zarzutów, był prowadzony w pola za miasto i bity. Na drugi dzień wezwano go na badanie, które nie dało ochrania pożądanego rezultatu; wieczorem więc tego dnia wczorajsza operacja powtórzyła się, tak że Orłowskiego, który nie mógł już o własnych siłach iść, strażnicy przynieśli i rzucili do celi. Po takim pobiciu Orłowski wezwał miejskiego doktora ostrowieckiego. Nie wiem, co mu doktor powiedział i czy robiony był o tym odnośny protokół. W parę dni po tym fakcie był w areszcie prokurator radomskiego sądu okręgowego, przed którym Orłowski się żalił; prokurator nic się nie odezwał, a tylko Orłowskiego obejrzał, widocznie jednak na Aleksandrowa wpłynął, bo później już zaprzestano prowadzenia aresztowanych w pola. Orłowski siedzi w Sandomierzu.

Pająk, aresztowany jesienią 1908 r., oskarżony o zabójstwo ekonoma folwarcznego Chochulskiego w majątku Nietulisko. Okoliczności sprawy P. są następujące: Matka Pajaka, jako wyrobnica, poszła na chwast w buraki folwarczne, tam spotkał ją ekonom Chochulski i zbił. Ona odezwała się na to: poczekaj, jak syn mój przyjedzie z Ameryki, to ci nie daruje. W

jakiś czas potem Pająk przyjechał z Ameryki do matki w odwiedzinach, a w 2 czy 3 dni po jego przyjeździe zabito Chochulskiego. Na zasadzie pogroźek matki aresztowano Pajaka. Parę razy był wieczorami prowadzony w pola; tam strażnicy pakowali mu głowę w piasek, by nie *krzyczał* i bili bezlitośnie. Pająk został wypuszczony przez Aleksandrowa na wolność.

Adamski aresztowany 9 marca 1909 r., prowadzono go wieczorem na powrozie związanego do Częstocic, gdyż tam mieszkał i pracował w cukrowni częstocickiej. Bito go przez całą drogę batami i kułakami, a w Częstocicach kazano mu wskazać skład broni. On, nic nie wiedząc, składu wskazać nie mógł. Obecnie siedzi w Sandomierzu.

Staniszewski siedzi obok nas, przywieziono ich 3 tygodnie temu. Pomimo prób i przekładań naszych nie chce podać skargi. Przez te kilka miesięcy aresztu podobno osiwił i wyłysiał. Przed kilku dniami był u niego sędzia śledczy z Ostrowca, Rzepiński, z pomocnikiem prokuratora radomskiego i męczyli go od 12-ej godziny do wpół do 10-ej wieczorem.

### *11 lipca.*

Znowu dochodzą nas wieści o wyrokach śmierci. Dziś wieczorem w sprawie wrocławskiej, która trwała 10 dni, zapewne znowu zapadło kilkanaście. Z 11 wyroków w sprawie lubelskiej zatwierdzono 5. Przed 2 tygodniami razem z Wólczyńskim powieszono i drugiego, Śliwińskiego. Końca nie ma i nie widać jeszcze. My już przyzwyczailiśmy się do tych wiadomości. I żyjemy dalej. Myśl nie jest już w stanie objąć zgrozy całej, odczuwa niepokój tylko jakiś, jakiś cień pada na duszę — i obojętność na wszystko coraz głębiej duszę ogarnia. Żyje się, bo nie wyczerpały się siły fizyczne. I wstręt się rodzi do siebie za to życie. I pozostaje jedno z dwojga: albo stoczyć się na samo dno.. ., albo odrzucić od siebie wszelką myśl o życiu własnym, o szczęściu i pójść drogą „odkupienia” winy swojej, winy ludzkości — drogą „męczeństwa”. Tyle razy pisałem o radości życia i potędze jego, o dniu jasnym, wiosennym, o czarodziejskiej muzyce, o pieśni wymarzonej, o kraju z bajki, o kraju prawdziwym. Dziś jeszcze mówiłem o tym towarzyszu memu, przed kilku dniami pisałem o tym do towarzysza, któremu na obczyźnie, w kraju cudownie pięknym, smutno i pusto, i obco. A teraz, gdy piszę te słowa, zawsze, jak cień złowrogi, pada na mą duszę myśl: „umrzeć powinieneś” — to najlepsza droga. Nie! Będę żył — nie odbiorę sobie życia: wiązą mnie czucia innych i praca moja, a może tęsknota i nadzieja, że wrócą czasy pieśni, nadzieja nieświadomiona, nadzieja, którą tęsknota stara się wpoić.

Przy straceniu prowadzą obecnie szczegółowy protokół zachowania się skazańca, słów jego, jęku i ostatniego charczenia. W celu naukowym.

### *16 lipca.*

Lubliniaków sadzono i powieszono nie tu, lecz w Lublinie. W wrocławskiej sprawie było 6 stryków. Skalón wyjechał, Utgoff zamienił wszystkim na katorgę. — Rogów zostawił następujący list: „Kochani towarzysze! Jeszcze chwil kilka zostało. Chwil, godzin oczekiwania śmierci wśród myśli i przypomnień przeszłości, tak jeszcze niedalekiej dla mnie, gdyż jeszcze wczoraj miałem nadzieję powrócić do Was, w Wasze znów wstąpić szeregi. Teraz chcę te chwile również oddać Wam — Wam i sprawie, której poświęciłem całe swe życie. Walczyłem, tak jak umiałem — szerząc żywe słowo i pracując wedle możliwości. Towarzysze! Skazany jestem za czyny obce mi, których byłem przeciwnikiem, w których żadnego najmniejszego udziału nie brałem. Ale czyż to wystarcza dla rządu katów i wieszatieli? — Staje się to, co się już nieraz powtórzyło, to, co spotykamy na każdym kroku w życiu państwowym dotychczasowej Rosji: — zbrodnie, zbrodnie i zbrodnie. A ofiarą jest proletariatus, świadomi jego synowie. Chwila obecna jest chwilą zastoju ruchu naszego — i w tej chwili chcę, pragnę powiedzieć Wam z mej obecnej mównicy, z celi śmiertelnej, słów parę: Do pracy, towarzysze! Już czas — już wielki czas! Niech zbrodnie dzisiejsze będą Wam pobudką w walce, która ustać nie może.

Towarzysze! Wy wszyscy, którzy jeszcze dotychczas odpoczywacie za kordonem i w kraju po długiej i mozolnej pracy, czy teraz jeszcze i nadal pozostaniecie bierni? Nie! I z tą wiarą dziś schodzę do bratnich mogił na stokach Cytadeli. — Z gorącą wiarą w naszą przyszłość, z wiarą w nasze zwycięstwo — z okrzykiem: „Niech żyje Rewolucja! — Niech żyje Socjalizm! Żegnajcie Was wszystkich, wszystkich”.

Tyle słów pozostawił. Zamordowano go niewinnie, właściwie Koziółkin popełnił zwykły dla niego mord, bo dwa razy pytany przez Skalona, odpowiedział, że sąd nie miał żadnej wątpliwości co do jego winy.

W pawilonie nastrój obecnie cichy, smutny i martwy. Nie słychać już śpiewów jak dawniej. Nie ma tak ożywionej korespondencji, nie wiemy nawet, kto siedzi na tym samym korytarzu. Zmienili się ludzie — wielu starych zabrano, nowi są, a starzy uspokoili się — ucichli. Nie ma pukań do drzwi. G. — na naszym korytarzu — nie wychodzi prawie wcale na spacer. Żandarmi wciąż zastraszeni; już nie rozmawiają z nami wcale, boją się nawet przyjaźnie w oczy spojrzeć, by nie zagadać z nimi, szukają grypsów i lepsi, gdy znajdą, sami niszczą, a gorsi, tchórzliwsi, oddają do kancelarii. Boją się i nas, bo wiedzą, że i szpicle siedzą; boją się, że napiszemy o nich w grypsach i gryps się może zasypać. Jeden z nich, który przed tym sam zaczepiał nas i prosił, aby z nim porozmawiać, prowadził mnie raz ze spaceru do kancelarii. Pożegnałem się z towarzyszami spaceru i machałem idąc czapką. Oburzył się wtedy na mnie i gdy powiedziałem mu coś, zagroził, że każe żołnierzowi kolbą mnie uderzyć. Wzburzony tym zajściem spotkałem zawiadowcę i pod pierwszym wrażeniem poskarżyłem mu się, a fijoł, ogłupiały, tłumaczył się przed zawiadowcą, wciąż powtarzając: „nie wolno się kłaniać, nie wolno się kłaniać”. O nim i przedtem inni fijoły mówili, że nie zły, lecz głupi. Za byle co karzą ich karcerem lub 2 godziny muszą stać w kancelarii wyprostowani jak we froncie z szablą w ręku. Widziałem raz, jak ich dwóch stało — obok siebie, wyciągnięci jak struny, o pół kroku od ściany i pod groźbą gorszej kary nie mogli ani się oprzeć, ani odpoczywać, przestępując z nogi na nogę. W oczach jednego zauważyłem błyski nienawiści, a u drugiego strach martwy, zwierzęcy. Tak — smutno i cicho u nas. Tylko przez okno skądś zza wału dolatują strzały pojedyncze i salwy — to żołnierze ćwiczą się w strzelaniu z karabinów i dział maszynowych; a tylko w święta i przed świętami muzyka wojskowa. — Na spacerze tylko ożywiamy się nieco. Ja z Wardeniem już trzeci miesiąc siedzimy we dwóch. Nie jest nam źle razem. A jednak czasami coś przychodzi i jakby pcha coś złego powiedzieć, coś zrobić na złość, chociaż zżyliśmy się z sobą. Czasami jakieś słowo, jakiś żart lub chodzenie po celi, a czasami obecność sama denerwuje strasznie — i ot już jakieś złe słowo przychodzi i gotowe się zerwać. Mamy siły jeszcze wstrzymać to słowo, nie pozwolić mu ujrzeć światła dzienne i tłumimy w zarodku. Może pomaga nam to, że nie narzucamy się sobie, że każdy z nas może sobą żyć i nie śledzi innego, że często nie czujemy wzajem swojej obecności. Ciężkie jest, że na razie los nasz jest różny — mój lżejszy, nadzieja bliskiej wolności — a u Wardenia perspektywa katongi i długiego siedzenia, z czym on nie może za nic się pogodzić. I on jest sam, nie ma dowodów pamięci stamtąd, nie dostaje drobnych bodaj upominków. A to jest ciężkie. Towarzysze, pamiętajcie o więźniach! Bo każdy znak pamięci — to promień słońca i nadzieje zmartwychpowstania.

*17 lipca.*

Marczewska, okazuje się, nie brała wcale żadnego udziału w zamachu na Skalona. Siedząc z Owczarkówną, dowiedziała się szczegółowo o tym zamachu i przyznała się, jakoby i ona tam była, chcąc uchodzić za wielką działaczkę a nie obawiając się gardłowej sprawy, bo miała wiele innych spraw gardłowych, bandyckich. Dowiedzieliśmy się o tym z zupełnie pewnego źródła. Grała wybornie rolę i udawało się to jej. Że wysypała pruszkowiaków, okazało się zupełną prawdą. Tu zasypała G., z którą jakiś czas siedziała, w jakiejś sprawie na wolności

z § 279 (napady i eksy<sup>1</sup>)\* i że agitowała tu fijołów. Zasypała też fijoła, że jakoby oddawał więźniom usługi.

*20 lipca.*

Pożegnanie Piekarskiego (Rydza), straconego 4 czerwca: „Przykro rozstawać się z życiem, gdy się czuje, że są jeszcze siły, by się czymś przysłużyć sprawie, ale gdym wyciągnął taki los na loterii życia — zgadzam się, boć przecież tak wielu ludzi poległo dla sprawy naszej w tej walce. — Nie mam pretensji do niczego i do nikogo. Pójdę z myślą, że kiedyś w kraju zaświta jaśniejsza chwila, a duch mój żyć będzie w radujących się sercach naszych współbraci. Żegnam Was wszystkich i szczerze życzę powodzenia w walce. A więc zwycięstwa! Bywajcie szczęśliwi”.

*23 lipca.*

Jeden z więźniów, robociarz, który siedzi już blisko rok — pisze mi między innymi: „Przyznam Warn się, że po pracy i rozmaitych przejściach na wolności, tu dopiero zdaje mi się, że oddycham pełną piersią i czuję się szczęśliwym, że nadarzyła się sposobność zebrania myśli i pogłębienia tak mi niezbędnych wiadomości, które tu czerpię z książek. Tak mnie to zajmuje, że dzień zdaje mi się zbyt krótkim i gdyby nie troska o mą rodzinę, to z wielką przyjemnością bym siedział dłuższy czas. Bo co prawda chcąc to wynagrodzić, z czego się nie korzystało na wolności, siedzimy co dzień prawie do świtu, a wstajemy o 7—8 godzinie rano i to dzień za krótki nam się wydaje na ustne konferowanie i rozważanie przeszłości”.

Chcę umieścić tu wyjątki z ostatnich listów Montwiłła (Mireckiego) — osądzonego 5 października za Łapy a powieszzonego w nocy z 8 na 9 — pisanych do jednego z więźniów: „...3.10.08. Sprawa już we wtorek. Sądzić będzie Płonson, oskarżać Abdulow. Jestem już jakby po „ostatnim namaszczeniu olejami św.”...

4.10. Z moją sprawą bynajmniej źle nie jest. Warn się to może dziwnym wydaje, ale potwierdzą, że jeśliby mnie nawet powiesili, to chociaż w tych czasach każda egzekucja budzi niesmak i zniechęcenie, jednak stryk, zarzucony na mą szyję, miałby swoje bardzo dodatnie znaczenie. W tym, co piszę, nie ma ani krzty zarozumiałości. Patrzę na to tak obiektywnie, jakby tu mowa była nie o mojej, lecz o jakiejś trzeciej osobie. W społeczeństwie jest sporo ludzi, którzy gadają, że wydziałowcy pchają innych pod kule i na szubienice, a sami chowają się za cudze plecy, żyją jak magnaci-rozrzutnicy. W taki też sposób podchodzi więźniów ochrona, agitując za zdradą. Mnie już rząd rosyjski uznał za członka Wydziału Bojowego — nie mogliby więc tak gadać, gdyby mnie powiesili...

Jestem w bardzo dobrym humorze i na zdrowiu czuję się trochę lepiej. Do sprawy faktycznie tak się odnoszę, jakby ona nie mnie dotyczyła: patrzę na wszystko ze stanowiska rewolucjonisty . . .

6.10 . . . Mnie dali dziś stryk i to chyba tylko na podstawie mowy prokuratora. Jutro wieczorem wyrok się uprawomocni, a za dwa, trzy dni będę już tam, dokąd odeszło tylu naszych . . .

W ostatniej chwili nie będę wznosił żadnego okrzyku, bo wrzasków nie lubię, gdybym jednak wznosił jakikolwiek okrzyk, to żaden inny jak tylko: Niech żyje Niepodległa Polska — idea niepodległości zawsze była przewodnią myślą mego życia i myśli tej nie zatraciłem nigdy . . . No, bywa j cię, Towarzysze, zdrowi . . .

7.10. Wyroku na pewno nie zmieniają, gdyż chcieli mnie skazać. Prokurator zakończył mowę: „Prigovor uże gotów. Wam nado tolko jewo podpisat”. Załączony krzyżyk posyłam Warn nie jako pamiątkę, lecz jako rzecz wartościową, którą nawet katorżnik może zawsze mieć i którą może łatwo spieniężyć. Dlatego też Warn się on może przydać — mnie już niepotrzebny. Żegnajcie”.

25 lipca

W 2-ch celach, o ile wiem, otworzono okna. Okna innych, które wychodzą na miejsce spaceru, zabite wszystkie. O innych oknach nie wiem, lecz wątpię, by były otwarte. Przed 2-ma miesiącami prosiłem o to zawiadowcę; odrzekł na to, że musieliby wszystkie otworzyć. Zauważyłem, że słusznie, że wszyscy zgodzą się i obiecują nie „nadużywać”, odpowiedział, że nie może. A sam wie, co znaczy otwarcie okna, sam mówił, że Awetisjanc, gdy przyszedł, był siłaczem — gimnastykował się ciężarami, które inni z trudem dźwigali.

4 dni temu przyszedł dyżurny i pytał, czy zgadzamy się siedzieć we trzech z facetem, który wyszedł ze szpitala, a który chciał siedzieć z Wardeniem. Zgadzamy się i prosimy, by zapytał zarządzającego, czyby pozwolił otworzyć nam okno. Na to — faceta nie przyprowadzono, posadzono go z wariatem; u nas dalej okno zamknięte. — Wczoraj dowiedzieliśmy się, że M., a podobno i Wardeniowi, umorzono sprawę o zabójstwo<sup>1</sup>. Wardeń nie wierzy, lecz zaniepokojony pisze do zarządzającego: „Niech Pan zechce mnie zawiadomić itd.” Dwa dni przeszło — ani słowa odpowiedzi. A jednak to człowiek dobry — lubi rozmawiać i bajdurzyć z więźniami, nie obchodzi się źle, daje ulgi, lecz ta dobroć i humory jego wielu już bokiem wyłażą.

Wardeniowi od tygodnia zaczęto dawać gorsze jedzenie, jako oskarżonemu o zabójstwo (że i z § 102, to nic nie znaczy). Jedzenia tak mało, że, nie mając pieniędzy, człowiek zawsze głodny! Trochę lepsze niż na przykład na Pawiaku, lecz znacznie mniej i literalnie nie ma czym zapchać żołądka. Dla tych, którzy nie mają monety lub mają jej mało, jest to wprost straszne, niczym nie można odpędzić uczucia głodu. Przeważnie leżą dni całe, są senni, rozdrażnieni, kłótlivi, męczą się okropnie. A wachmistrze nasi wychodzą na tym nieźle. Stary wachmistrz, człowiek dobry, nieraz troskliwy nawet o więźniów, zebrał podobno przez 6 lat służby coś z 10 tysięcy rb. I obecny wachmistrz zimą spekulował węglem — palił raz na dwa dni, czasami rzadziej. Teraz robi interes na mleku. Była zabawna scena z pewnym więźniem. Dostawał mleko (za własne pieniądze) z wodą. Poprosił więc intendenta, który powiedział, że mleko daje krowa wachmistrza. Przyszedł teraz wachmistrz i obiecał dawać lepsze mleko, jeżeli nikomu z nas o tym nie powie. Intendent — staruszek, który od dawna tu siedzi i podobno jest rzeczywiście czuły i dobry, zarabia na naszym jedzeniu i bierze, gdzie tylko może. — Oficer K. obliczał, że na każdym zarabia do 11-stu kp. (na lepszym jedzeniu); K. sam był gospodarzem w swej baterii i znał ceny.

8 sierpnia.

Trzy miesiące temu (8 maja) zapadł ostateczny wyrok co do mnie w Izbie. 9 czerwca wysłano wyrok do cara na zatwierdzenie i dopiero w tych dniach wyrok wrócił z Petersburga. Być może za miesiąc wyślą mnie dopiero. W każdym razie wkrótce już pożegnam X-ty. 16 miesięcy upłynęło mi tutaj — i teraz dziwnym mi się wydaje, że muszę stąd wyjechać, właściwiej, że mnie stąd zabiorą. Z tego domu okropnego, smutnego. Syberia, dokąd mnie wywiozą, wydaje się myśli mojej jak kraina wolności, jak bajka ze snu, marzenie pożądane. Lecz zarazem nasuwają mi się pewne nieokreślone obawy. Ja wyjdę, a to życie okropne dalej tu snuć się będzie. Dziwne i takie dla mnie niezrozumiałe. I nie okropność ponurego pałacu przykuwa doń. To uczucia w stosunku do towarzyszy, do przyjaciół, do sąsiadów nieznanych — obcych a tak bliskich. Tu odczuliśmy i zrozumieliśmy, czym jest człowiek dla człowieka, jako jego konieczna potrzeba. Stosunki ludzkie nie są proste, a z uczuć zrobiono własność wybranych tylko — wbrew potrzebom człowieka. — I jeżeli tu tęsknimy za kwiatami, to nauczyliśmy się ludzi tak samo jak kwiaty kochać. Właśnie tu, gdzie nie ma rozpacznej walki o kawał chleba, tu, gdzie na powierzchnię wychodzi to, co tam ukryte być musiało w samej głębi duszy ludzkiej. I dlatego kochamy miejsce kaźni naszej, bo walka, która nas tu

przyproadziła, staje się widoczną także jako walka o szczęście nasze osobiste, o wyzwolenie się z narzuconej nam przemocy i kajdan duszy.